

Z widokiem na Górę Ofiarną

Bili tak, żeby nie było śladów

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 5(425) MAJ 2026

MONTE
CASSINO
2026



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 5(425) maj 2026



dolącz do nas na facebooku i na X

[www.facebook.pl/udskior](https://www.facebook.com/udskior)
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3200 egz.



w numerze

4 Łańcuch pamięci

Obchody 82. rocznicy Bitwy o Monte Cassino miały szczególnie międzypokoleniowy charakter. Na Monte Cassino obecne były rodziny żołnierzy pochowanych na Polskim Cmentarzu Wojennym, wnosząc do uroczystości osobisty i wzruszający wymiar

12 Obwieścił polski triumf

Przez dwie godziny plutonowy Emil Czech przedzierał się na szczyt wzgórza, ścigając się z czasem i uchodząc niemieckim kulom, zbierającym krwawe żniwa. Wszystko po to, aby na stałe wejść do annałów historii

Waldemar Kowalski

15 Z widokiem na Górę Ofiarną

– Pracowałem na kłęczkach. Byłem cały utyłtany we krwi. Wśród potępieńczego jęku ludzi cierpiących lub konających wykonywałem mechaniczne ruchy odslaniania, oglądania i bandażowania ran – napisał po wojnie dr Adam Majewski

Przemek Budzich

19 1. Armia Wojska Polskiego w operacji berlińskiej

Początek udziału 1. Armii WP w operacji berlińskiej trudno było uznać za szczęśliwy. Ostatecznie żołnierze 3 pp dotarli do Bramy Brandenburskiej, symbolicznie kończąc udział „kościuszkowców” w szturmie stolicy III Rzeszy.

Łukasz Nadolski

23 Przeżył Auschwitz, nie przeżył Mokotowa

O brutalnym śledztwie, procesie i egzekucji rtm. Witolda Pileckiego opowiada dr Bartłomiej Kapica, historyk z Instytutu Pileckiego, który kieruje tam pracami Ośrodka Badań nad Totalitaryzmami

Norbert Nowotnik

26 Bili tak, żeby nie było śladów

– Odebrano mi wolność, godność i dobre imię – powiedział Michał Wysocki, kierowca karetki, która wiozła z komisariatu do pogotowia ratunkowego skatowanego przez milicjantów Grzegorza Przemyka

Katarzyna Zientara-Majewski

31 Biblioteka SZEFA URZĘDU

Okładka: FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Centralne uroczystości obchodów 82. rocznicy Bitwy o Monte Cassino odbyły się 18 maja 2026 roku na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino. Wzięły w nich udział liczne delegacje z Polski i zagranicy, weterani, w tym mjr Władysław Dąbrowski, jeden z ostatnich żołnierzy gen. Władysława Andersa, a także – po raz pierwszy – rodziny poległych żołnierzy oraz prezydent Karol Nawrocki. Premiera Donalda Tuska reprezentował minister Jakub Stefaniak.

W uroczystości uczestniczyli również przedstawiciele Wojska Polskiego wraz z Dowódcą Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych gen. Markiem Sokołowskim, wiceminister obrony narodowej Stanisław Wziątek, wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej Sebastian Gajewski, wiceminister kultury Marek Krawczyk, przewodniczący Komisji Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Środków Przekazu Piotr Adamowicz. Przemówienie inauguracyjne wygłosił Lech Parell, szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Głównym organizatorem uroczystości był UdSKIOR.

Cztery lekcje Monte Cassino. Wciąż aktualne

82 lata po zdobyciu wzgórza Monte Cassino pamięć o żołnierzach generała Władysława Andersa nie jest tylko hołdem dla przeszłości. To zestaw wskazań, które nie straciły nic ze swojej aktualności.

W maju 1944 roku żołnierze 2. Korpusu Polskiego przełamali Linie Gustawa i zdobyli wzgórze Monte Cassino, otwierając wojskom alianckim drogę na Rzym. Fakty te są zapisane w podręcznikach. Pytanie, które zadajemy sobie, świętując kolejne rocznice, jest następujące: co tamto zwycięstwo mówi nam dziś, a więc w czasie, gdy wojna powróciła na kontynent europejski?

Lekcja pierwsza: nadzieja

Dla Polaków żyjących w okupowanym kraju, gdzie całe wspólnoty poddawano planowej eksterminacji, sam fakt, że gdzieś daleko polski żołnierz walczy pod białą-czerwoną flagą, był znakiem, że Polska nie zginęła. Później, w czasach PRL, ten sam przykład dodawał odwagi tym, którzy walczyli o prawa człowieka i wolność słowa. Obie te walki zakończyły się sukcesem. Monte Cassino uczy więc, że nawet z opresji pozornie beznadziejnej można wyjść zwycięsko.

Lekcja druga: dyscyplina i przygotowanie

Odwaga i determinacja żołnierzy 2. Korpusu nie byłyby wystarczające bez rzetelnego wyszkolenia, dobrej organizacji i sprawnego dowodzenia. Generał Anders zdołał te cechy wykształcić w swoich ludziach w niezwykle krótkim czasie. Dziś to samo zadanie stoi przed polskim państwem. Wymaga ono wewnętrznej dyscypliny i świadomości, że czasu jest niewiele.

Lekcja trzecia: sojusz

O wzgórzu Monte Cassino walczyli ramię w ramię żołnierze z kilkunastu krajów. To nas uczy, że wolności nie zdobywa się w pojedynkę. Tym bardziej samemu się jej nie obroni. Choćbyśmy wydali na obronność nie 5 proc. PKB, ale 50 proc. W naszych dziejach nieustannie poszukiwaliśmy wyjścia z potrzasku, jakim jest położenie między silnymi i zaborczymi sąsiadami. Nasze nadzieje na sojusze najczęściej jednak okazywały się płonne!

Dziś po raz pierwszy od wieków sytuacja jest inna. Te szanse stwarza obecność Polski w Unii Europejskiej i w NATO, w którym silną rolę odgrywają Stany Zjednoczone. Wzmacnianie tych sojuszy jest naszą racją stanu. Odwrotnie: kruszenie któregokolwiek z nich jest godzeniem w nasze interesy. A symbolicznym podkreśleniem tego przekonania była podczas tegorocznych uroczystości na Monte Cassino obecność flag zjednoczonej Europy.

Lekcja czwarta: pojednanie

Czwarta lekcja, o której myślę, jest chyba najtrudniejsza. To lekcja pojednania i zrozumienia znaczenia wspólnoty.

2. Korpus stanowił formację, w której spotkali się Sybiracy, byli jeńcy sowieckich łagrów z tysiącami Polaków, którzy wcześniej zmuszeni byli do służby w Wehrmachcie i wykorzystywali każdą okazję do ucieczki, by dołączyć do armii polskiej. Ileż dzieliło ich różnic! Ta historia nie jest dobrze znana, choć jest oczywista i przez samego gen. Andersa podkreślana była wręcz z dumą. Paradoksalnie: podziały przewyciężone wtedy zaczęły odgrywać negatywną rolę w ostatnich latach. To wielkie zło.

Naszych Rodaków z Wielkopolski, ze Śląska i z Kaszub, których wcielano do armii niemieckiej i którzy przy nadarzającej się sposobności przechodzili do Polskich Sił Zbrojnych, było łącznie w polskiej armii na Zachodzie aż 90 tysięcy. Wszyscy oni, złączeni braterstwem, służyli pod białą-czerwoną. Wszystkim im – niezależnie od drogi, którą przyszli do Polskich Sił Zbrojnych – wolna Polska po 1989 roku przywróciła pełnię praw kombatanckich. 2. Korpus Polski był więc płaszczyzną, na której spotkali się Polacy najróżniejszego pochodzenia, wszystkich przekonań, wyznań, poziomu wykształcenia. Wierzę, że i nam uda się przewyciężyć nawet największe podziały.

Historia i przesłanie tej zwycięskiej kampanii powinny towarzyszyć nam jak drogowskaz. Nadzieja, dyscyplina, sojusz i pojednanie – cztery lekcje Monte Cassino – nie zostały odrobione raz na zawsze w 1944 roku. Trzeba je odrabiać bez końca.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatanatów
i Osób Represjonowanych*

Tekst stanowi fragment wystąpienia inauguracyjnego
wygłoszonego 18 maja 2026 r. na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino



Łańcuch pamięci

Tegoroczne obchody miały szczególnie międzypokoleniowy charakter. Na Monte Cassino obecne były rodziny żołnierzy pochowanych na Polskim Cmentarzu Wojennym, wnosząc do uroczystości osobisty i wzruszający wymiar. Po raz pierwszy, podczas centralnych uroczystości, przywołane zostały sylwetki uczestników walk, których groby znajdują się na polskiej nekropolii. Rodzinne wspomnienia przypomniały nam, jak ważne są patriotyzm, poświęcenie i jedność.

18 maja na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino wybrzmiały słowa pamięci pielęgnowane i przekazywane z pokolenia na pokolenie. Dla rodzin był to wzruszający moment, niektórzy po raz pierwszy mogli pochylić się nad grobami bliskich. Byli dumni z bohaterstwa, odwagi i poświęcenia dla ojczyzny, ale przede wszystkim wspominali kochających mężów, braci i synów, którzy nigdy nie wrócili do swoich najbliższych.

Kapitan Alfred Kuczuk-Pilecki zginął, ratując swoich żołnierzy

Katarzyna Nowicka, wnuczka siostry, wspomina kpt. Alfreda Kuczuka-Pileckiego, jednego z dowódców oddziałów w 6. Pułku Pancernym „Dzieci Lwowskich”. Po zwycięstwie pod Monte Cassino jego oddział uczestniczył w walkach o przełamanie Linii Hitlera w rejonie Piedimonte San Germano. Zginął 23 maja 1944 roku.



Kapitan Alfred Kuczuk-Pilecki poległ 23 maja 1944 roku w walkach o Piedimonte San Germano. Miał zaledwie 38 lat.

Urodził się w Petersburgu, w rodzinie o tatarskich korzeniach. W 1918 roku wraz z rodzicami powrócił do niepodległej Polski. Ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, a przed wojną służył w Kompanii Zamkowej, chroniącej prezydenta Ignacego Mościckiego.

Po wybuchu wojny w 1939 roku walczył w wojnie obronnej Polski. Po agresji sowieckiej został zatrzymany przy próbie przekroczenia granicy litewskiej i internowany. Zdołał jednak uciec z obozu w Kołotowie i podjął dramatyczną próbę przedostania się na Zachód.

Była to droga pełna niebezpieczeństw – dwukrotnie aresztowany przez Niemców, za każdym razem zdołał zbiec. Przez Holandię dotarł do Francji, a następnie do Anglii. Tam, po intensywnym szkoleniu, został skierowany na Bliski Wschód do armii generała Władysława Andersa.

Był jednym z dowódców oddziałów w 6. Pułku Pancernym „Dzieci Lwowskich”. W maju 1944 roku, bezpośrednio po walkach o Monte Cassino, jego oddział wziął udział w natarciu na Piedimonte San Germano i w przełamywaniu niemieckiej Linii Hitlera. Dowodził szwadronem pancernym, w którym wszystkie czołgi typu Sherman nosiły nazwy rozpoczynające się na literę „M”. Jego wóz nosił nazwę „Magnat”. Walki toczyły się w niezwykle trudnym, górzystym terenie. Czołgi grzęzły, osuwały się ze zboczy, stawały się łatwym celem. Gdy jeden z nich spadł ze skarpy, kapitan Kuczuk-Pilecki bez wahania ruszył na pomoc załodze. Wtedy został trafiony przez niemieckiego strzelca wyborowego. Zginął, ratując swoich żołnierzy. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

Jego podkomendni wspominali go jako dowódcę wymagającego, ale przede wszystkim troskliwego i oddanego ludziom. Był znakomitym organizatorem i wychowawcą. Potrafił łączyć wojskową dyscyplinę z empatią i odpowiedzialnością za drugiego człowieka.

Pozostawił po sobie nie tylko kartę wojennej odwagi, lecz także trwałą pamięć – pielęgnowaną przez rodzinę. Dziś pamięć o nim podtrzymują jego wnuczka Anna oraz prawnukowie. Stojąc dziś w tym miejscu, wypełniamy również wolę jego najbliższych – siostry Ludmiły i brata Wacława – którzy przez lata troszczyli się o to, by pamięć o nim nie zgasła.

Ppor. Leon Chałupa zawsze szedł pierwszy

Monte Cassino, sektor 7-C, kwatera nr 1, na kamiennej płycie widnieje napis: PODPORUCZNIK CHAŁUPA LEON, 18. Batalion Strzelców, do tego data i miejsce urodzenia oraz data śmierci. Tyle mówi o nim historia zapisana w kamieniu. Ale kim był ten żołnierz?

Nie ma już kogo zapytać. Tragiczny los nie oszczędził ani jego samego, ani jego bliskich. Rodzice i wielu krewnych z licznej rodziny Chałupów zostali zamordowani w 1944 roku przez ukraińskich sąsiadów w Nowosielicy – ich rodzinnej miejscowości na Kresach. Dlatego postać Leona Chałupy

Wspomnienia Anny Banasiak, krewnej Leona Chałupy, żołnierza 18. Lwowskiego Batalionu Strzelców, który z sowieckiej niewoli przedostał się do armii gen. Andersa. Jego droga wiodła przez łagry, Bliski Wschód i Włochy. Poległ pod Monte Cassino 18 maja 1944 r.

Przed wybuchem II wojny światowej był zawodowym żołnierzem. Do wojska wstąpił już w 1932 roku, służąc w 49. Huculskim Pułku Strzelców. Walczył we wrześniu 1939 roku przeciwko niemieckim najeźdźcom – aż do momentu, gdy od wschodu uderzył drugi wróg, Sowieci. Dostał się do niewoli, ale nie pogodził się z nią i już po tygodniu uciekł. Wrócił do domu. Przez kilka miesięcy żył w ukryciu. Potem został ponownie aresztowany przez Sowieców i skazany na pięć lat przymusowych robót. Trafił do obozu na dalekiej północy Rosji.

Dopiero rok 1941 przyniósł wolność – i powrót do polskiego munduru. Droga, która zaczęła się na Kresach, prowadziła przez łagry, Bliski Wschód i Włochy – aż pod Monte Cassino, gdzie zakończyła się jego żołnierska służba i życie.

Kim był prywatnie? Wiemy o nim tak mało! Na to pytanie odpowiadają tylko rzeczy, które po nim pozostały. Różaniec. Modlitewnik. Złoty łańcuszek z krzyżykiem. Medaliki przywiezione z Jerozolimy. Ryngraf. Wśród tych przedmiotów jest jeden szczególnie – złota obrączka ślubna z napisem: „Jerozolima, 22 X 1939”.

Co to wszystko znaczy, możemy jedynie się domyślać. Obrączka – zachowała się tylko jedna – jak się domyślamy, musiała być kupiona w Jerozolimie, a data, październik 1939 – odnosi się chyba do potajemnego ślubu z Kazimierą. Sugeruje ona powód jego desperackiej ucieczki po pierwszym sowieckim aresztowaniu. W domu czekała na niego narzeczona. Prawdopodobnie pobrali się właśnie w październiku 1939 roku. W tajemnicy, aby w razie aresztowania nie narazić żony na represje i wywózkę na Sybir. O obrączkach pewnie nikt wówczas nie myślał. Dopiero po latach rozłąki, w Ziemi Świętej, Leon mógł je kupić – piękne i złote, na których kazał wygrawerować datę ich ślubu. A dziś my próbujemy z tych okrucichów odczytać drogę, którą przeszedł nasz drogi Leon Chałupa.

Cześć jego pamięci!



FOT. LUDSKOR

możemy dziś odtwarzać jedynie fragmentarycznie – na podstawie wojskowych zapisów, rozproszonych świadectw, okrucichów pamięci.

Jednym z nich jest odnaleziony reportaż korespondenta wojennego z „Gazety Żołnierza”, opisujący akcję bojową pod jego dowództwem podczas krwawych walk o Monte Cassino. To właśnie tam, w ogniu walki, wyłania się jego prawdziwy obraz – dowódcy, który nie tylko wydawał rozkazy, lecz prowadził swoich ludzi własnym przykładem. Mówił: „Ja idę pierwszy”. I szedł. Strzelec Kazimierz Basiński wspominał, że żołnierze podążali za nim bez wahania – z zaufaniem i odwagą. To on widział, jak podporucznik Chałupa padł trafiony śmiertelną kulą, prowadząc swój pluton do ostatniego ataku. Został pośmiertnie odznaczony Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari V klasy.

As wywiadu mjr Jan Żychoń

Jan Żychoń, o którym chcę Wam dziś opowiedzieć, był nie tylko majorem, oficerem wywiadu, jednym z najlepszych w swoim fachu. Był też kimś bliskim – częścią rodziny, synem, mężem, bratem, wujem. Kimś, kto miał swoje miejsce przy stole, swoje niedokończone sprawy, swoje plany, które nagle się urwały. Jego śmierć w maju 1944 roku nie była tylko „bohaterskim końcem” – była dramatem, który rozegrał się w ciszy domów, w pamięci i w braku, którego nie da się wypełnić.

Pozwolą Państwo, że w tym miejscu odczytam fragmenty listu żony majora – Heleny Żychoń – do mojej prababci Antoniny Żychoń. List ten ukazuje ogrom cierpienia żony i matki po poniesionej stracie.



FOT. LUDSKOR

Cabourg 22. VII. 1946.

Moja Kochana Mamusiu,

przepraszam bardzo, że tak długo nie pisałam, ale po prostu nie miałam sił. Nie wiem, czy Mamusi już jest wiadomo, że nasz kochany Janek nie żyje. Poległ on bohaterską śmiercią dnia 17 maja 1944 roku pod Monte Cassino. O śmierci Jego dowiedziałam się dopiero w grudniu. Nie chciałam w to uwierzyć, dopiero jak mi przysłali metrykę zgonu i list z ostatnią wolą Jego.

Tak kochana Mamusiu, Ty straciłaś swego kochanego syna, a ja swego najdroższego męża. W ostatnim liście swoim każe Was wszystkich ucałować i pozdrowić.

Wspomnienie Alicji Tracz, krewnej mjr. Jana Żychoń, oficera wywiadu wojskowego Oddziału II Sztabu Głównego WP, a następnie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Po rezygnacji ze stanowiska zgłosił się do służby liniowej. Walczył w 5. Wileńskiej Brygadzie Piechoty jako zastępca dowódcy 13. Wileńskiego Batalionu Strzelców „Rysiów”. Zginął pod Monte Cassino 18 maja 1944 r.

W drugą rocznicę Jego śmierci byłam na Jego grobie. Leży on pięknie pomiędzy swoimi żołnierzami. Ból i smutek mi serce ścisnął, gdy klęczałam na Jego mogile. Tak pracował całe życie dla Ojczyzny i też za nią zginął.

Kochana Mamusiu, wiem, jaki to jest dla Mamusi czas i teraz mnie zrozumiesz, że nie byłam w stanie Ci tego napisać. Los nasz leży w ręku Boga, i każdy z nas musi swój krzyż cierpliwie do końca znosić.

Kochanej Mamusi rączki serdecznie całuję.

Hela

Możemy mówić o zasługach Majora – i trzeba o nich pamiętać. Ale jako rodzina nie potrafimy patrzeć na to wyłącznie w kategoriach dumy. Jest w tym także smutek, strata i świadomość ceny, jaką zapłacił on – i jaką zapłacili jego bliscy. Dlatego występuję tutaj, żeby przypomnieć, że za każdą taką historią stoi człowiek i jego rodzina. Że pamięć nie musi być tylko uroczysta i wzniosła. Może być też cicha, osobista, czasem bolesna.

Dzisiejsza pamięć o nim powinna być właśnie taka – uczciwa. Niepobawiona szacunku, ale też nieuciekająca w uproszczeniu. Bo patriotyzm nie zawsze jest wielkim słowem. Czasem jest trudnym wyborem, czasem samotnością, a czasem stratą, która zostaje na pokolenia.

Na losy naszej Ojczyzny składają się przecież te pojedyncze linie życia – tak jak linia życia majora Żychońa – napelniona etosem służby, odwagą i wiernością wartościom, które nie przemijają. I to właśnie z nich, z tych cichych, osobistych historii, buduje się pamięć narodu. Dlatego wspominając Go dziś w tym miejscu, spróbujmy dostrzec człowieka – z jego wyborami, poświęceniem i śladem, jaki pozostawił. Bo dopóki o nich pamiętamy, dopóty ta historia wciąż żyje w nas. I przypomina o wartościach, dla których warto żyć.

Wilhelm Kubisz – z Afrika Korps do Andersa

Dzisiaj wspominam wujka, brata mojego Ojca – Wilhelma Kubisza – nazywanego przez wszystkich Wilusiem. Niestety nie było mi Go dane poznać, a obraz jego osoby, który noszę w sobie, malowany jest jedynie przez opowieści Babci oraz mojego Taty.

Wujek Wiluś urodził się 13 sierpnia 1920 roku w Drogomyślu, na Śląsku Cieszyńskim, jako najstarszy syn Heleny i Jerzego. Przyszedł na świat w prostym wiejskim domu, w którym ważne były praca, wiara ewangelicka i przywiązanie do ziemi. Miał młodszego brata Józefa – mojego Tatę – oraz siostrę Helenę. Gdy Wujek Wiluś miał zaledwie osiem lat, a mój Tata cztery, na gruźlicę zmarł ich ojciec. Ta śmierć była traumatycznym przeżyciem, które na zawsze odmieniło życie rodziny.

Dom moich Dziadków był głęboko zakorzeniony w wierze luterańskiej. Ewangelicki etos pracy, w którym Wujek Wiluś został wychowany, uczył go rzetelności, pokory i odpowiedzialności. Babcia zawsze mówiła o nim jako o człowieku spokojnym, cichym, ale wytrwałym. Wybuch II wojny światowej przerwał ten trudny, lecz uporządkowany świat. Jak wielu młodych mężczyzn ze Śląska Cieszyńskiego, Wujek został przymusowo wcielony do armii niemieckiej.

Droga Wujka w pierwszych latach wojny nie jest mi dokładnie znana, jednak ostatecznie znalazł się w szeregach Wojska Polskiego. Walczył jako żołnierz 1. Batalionu Strzelców, wchodzącego w skład 3. Dywizji Strzelców Karpackich, podległej 2. Korpusowi Polskiemu gen. Władysława Andersa. Poległ tutaj, pod Monte Cassino, pierwszego dnia natarcia.

Jego śmierć była ogromnym ciosem i stratą dla mojej Babci, mojego Taty i Cioci. Żał pogłębiała niemożność odwiedzenia grobu i pożegnania. Dopiero w 1994 roku, podczas obchodów 50. rocznicy walk pod Monte Cassino, nad grobem mojego wujka stanął mój Tata. Dla naszej rodziny było to wydarzenie niezwykle trudne, ale potrzebne i wzruszające. Dziś podobne przeżywam je ja – bratanica Wilusia.

Nie mogłam poznać wujka – urodziłam się trzynastcie lat po jego śmierci. Opowieści o nim docierały do mnie z ust dorosłych, dlatego w mojej wyobraźni jawił się jako ktoś starszy. Tymczasem zginął na zboczu tego wzgórza, mając zaledwie 24 lata. Cześć Jego pamięci!



Hildegarda Chudy, bratanica strzelca Wilhelma Kubisza, żołnierza 1. Batalionu Strzelców, wchodzącego w skład 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Wilhelm Kubisz poległ 12 maja 1944 r.

Franciszek Smolak poległ na stoku Wzgórza Widmo

List do Dziadka Franciszka Smolaka – nigdy niewysłany

Witam Cię, Dziadku mój, Franciszku Smolaku, powitaniem, od którego zaczynałeś każdy list do swojej rodziny: Pochwalony Jezus Chrystus!

W 1939 roku wyszedłeś ze swojego drewnianego, jeszcze nieukończonego domu we wsi Turza koło Sokołowa Małopolskiego, bo zostałeś zmobilizowany do Wojska Polskiego, do służb łączności. Miałeś wtedy 29 lat. Byłeś rolnikiem, mężem Anieli i tatusiem dwóch córeczek: dwuletniej Heleny i kilkumiesięcznej Genowefy. Kochałeś je bardzo.



W liście do domu pisałeś:

Jarosław, 27 sierpnia 1939 roku

Kochana Żonusiu! Bardzo mi jest przykro i tęskno, kiedy sobie przypomnę głosy i szczebiotanie moich dzieci, to się mi na płacz zbiera. Mówię Ci, Anielciu, że tak mi jest przykro, że nie mogę sobie miejsca znaleźć. Co tam Helcia, czy nie zapomniała o tatusiu? Napisz, czy ta śmiejąca się Gienia jest zdrowa?

Jako żołnierz 6. Batalionu Łączności trafiłeś do sowieckiej niewoli w okolicach Stanisławowa 19 września 1939 roku. Gdzieś na żołnierskiej drodze spotkałeś Stanisława Trzebińskiego. Trzymaliście się razem. Dalsza jeniecka droga prowadziła przez obóz w Krzywym Rogu, potem przez dolinę Peczory w Republice Komi. W straszliwych warunkach wyczerpania, głodu i epidemii pracowałeś w Północnym

Bożena Babiuch wspomina dziadka, Franciszka Smolaka, który z sowieckiej niewoli przez łagry trafił do armii Andersa. Walczył jako strzelec 5. Batalionu Łączności 5. Kresowej Dywizji Piechoty. Zginął 17 maja 1944 r. w walkach o Monte Cassino.

Obozie Kolejowym, walcząc o przetrwanie. To właśnie z Rosji nadszedł beczenny dla rodziny list – znak Twojego istnienia. 6 maja 1940 roku napisałeś: *Kochana Żono, ja żyję i jestem zdrowy. Jestem w niewoli w Rosji.*

Do Tatiszczewa, gdzie formowały się polskie jednostki, jechaliście z Trzebińskim pociągami przez tydzień. Dotarliście tam 4 września 1941 roku. Po długiej drodze ostatecznie trafiliście do Włoch. Służyliście w 5. Batalionie Łączności 5. Kresowej Dywizji Piechoty. Przed bitwą o Monte Cassino złożyliście sobie żołnierskie przyrzeczenie: ten, który przeżyje, zaopiekuje się rodziną drugiego.

17 maja 1944 roku, na stoku Wzgórza Widmo, zginąłeś, Dziadku. Niemiecki pocisk spadł bardzo blisko Ciebie. O Twojej śmierci wiedział Stanisław Trzebiński. Po walkach zapytał dowódców o adres rodziny, ale – niestety – nic więcej z tą wiedzą nie zrobił. Być może nie mógł. Aniela Smolak i córeczki dowiedziały się o Twojej śmierci dopiero po kilku latach, w odpowiedzi na pytania kierowane do Czerwonego Krzyża.

Dla wdowy i dzieci zaczął się wtedy czas okrutnie ciężki. Nie było żadnej pomocy dla wdowy i sierot, bo byłeś żołnierzem Andersa. Później bardzo zdolna matematycznie Helena znakomicie zdała egzaminy do szkół, ale nie została przyjęta. Usłyszała, że takich jak ona – dzieci „zdrajców” i „sprzedawczyków” – nowej Polsce nie potrzeba.

Dziś Twoja żona Aniela jest już razem z Tobą. Dołączyła do Ciebie także córka Helena. Genowefa ma dziś 87 lat, choruje i nie mogła być tutaj, przy Twoim grobie oznaczonym numerem VII-A-17.

My, Twoje wnuki i prawnuki, dostaliśmy od Genowefy zadanie pielęgnowania Twojej pamięci. Na jej życzenie szukamy śladów po Tobie we wszystkich archiwach. Bo chcielibyśmy zobaczyć Twoją twarz na zdjęciu, zanim odejdziesz. Może wtedy, tam, u góry, wśród ponad tysiąca żołnierzy poległych pod Monte Cassino, łatwiej byłoby Cię rozpoznać – i przytulić jak Tatusia, którego się nie pamięta, a za którym bardzo się tęskni. Dlatego dziś, Franciszku Smolaku, wołamy Cię po imieniu – byś nie był zapomniany.

Por. Fryderyk Mandera – „Frydek z Mikołowa”

Trudno w kilku słowach opowiedzieć całe życie człowieka. A jednak trzeba – by pamięć o nim nie pozostała jedynie napisem na kamiennej płycie.

Fryderyk Mandera urodził się w maju 1915 roku w Gliwicach, wówczas znajdujących się w granicach Niemiec. Był czwartym dzieckiem Józefa Mandery, mojego dziadka – dzieckiem szczególnie ukochanym.

Po I wojnie światowej, w czasie powstań śląskich, wobec gróźb i ataków ze strony niemieckich nacjonalistów, rodzina Manderów przeniosła się do pobliskiego Mikołowa. I tu już pozostała. Fryderyk tam dorastał, ucząc się i kształtując swój charakter. Był harcerzem, współtwórcą drużyny im. Tadeusza Kościuszki, uczestnikiem zlotów skautowych, także na Węgrzech. W Krakowie studiował w Akademii Górniczej, a następnie trafił do Szkoły Podchorążych.

Wojna zastała go w koszarach. Po klęsce wrześniowej próbował przedostać się na Węgry, lecz 2 listopada 1939 roku został pojmany przez Sowieców. Przez blisko dwa lata przebywał w obozach, w głodzie, zimnie i nieustannym zagrożeniu życia. Uwolniony po układzie polsko-sowieckim, wstąpił do armii generała Andersa. Z nią przeszedł szlak przez Bliski Wschód aż na front włoski.

Przed żołnierzami stanęły niemieckie umocnienia Linii Gustawa i klasztorne wzgórze Monte Cassino, miejsce, którego nie zdołały zdobyć kolejne armie alianckie. W nocy z 11 na 12 maja 1944 roku ruszyło polskie natarcie. Rozpoczęła je potężna nawała artylerii. Potem do ataku poszła piechota, czołgi, saperzy, artylerzyści, całe oddziały 2. Korpusu Polskiego. Polacy ponosili ciężkie straty, ale szli naprzód. Walczyli nie tylko o przełamanie niemieckiej obrony. Walczyli także o honor żołnierza polskiego, o pamięć o zniewolonej Ojczyźnie, o prawo Polski do wolności.

Dla mojego wuja, podporucznika Fryderyka Mandery, bitwa o Monte Cassino zakończyła się już 12 maja 1944 roku. Podczas patrolu bojowego jechał transporterem opancerzonym typu Carrier. Pojazd został bezpośrednio trafiony niemieckim granatem móżdżerzowym. Wraz z nim zginął kierowca, bombardier Stanisław Kubański. Tak



FOT. URSZKOP

Grzegorz Mandera, bratanek por. Fryderyka Mandery, wspomina wuja, który z armią gen. Władysława Andersa przeszedł cały szlak bojowy. Poległ 12 maja 1944 r. podczas walk o Monte Cassino.

odszedł młody, zaledwie 29-letni człowiek z Mikołowa. Ukochany syn mojego dziadka. Polski patriota. Harcmistrz Rzeczypospolitej. Żołnierz 2. Korpusu Polskiego. A dla swoich kolegów – wesoły, lubiany „porucznik Frydek”.

Dziś jego życie możemy odczytać tylko z nielicznych dokumentów, rodzinnych wspomnień i żołnierskiego grobu. Ale to wystarczy, by zrozumieć, że nie był bezimienną częścią wielkiej historii. Był człowiekiem z własnym domem, rodziną, młodością, marzeniami i przyjaźniami. Był kimś, kto mógł żyć długo, pracować, kochać, wychowywać dzieci, służyć Polsce w czasie pokoju. Historia zażądała jednak od niego ofiary najwyższej. Dlatego stoimy dziś przy jego grobie nie tylko z bólem, ale i z wdzięcznością. Bo tacy jak on oddali Polsce wszystko, co mieli najcenniejszego – własne życie.

Cześć pamięci podporucznika Fryderyka Mandery! Cześć pamięci wszystkich polskich żołnierzy, którzy przelali krew za Ojczyznę i spoczywają tu, u stóp Monte Cassino. ■

Obwieścił polski triumf

Wydawałoby się, że to iście straceńcza misja. Przez dwie godziny plutonowy Emil Czech przedzierał się na szczyt wzgórza, ścigając się z czasem i uchodząc niemieckim kulom, zbierającym krwawe żniwa. Wszystko po to, aby na stałe wejść do annałów historii.

TEKST | Waldemar Kowalski

Nie trzeba być znawcą II wojny światowej, aby kojarzyć słynną fotografię z polskim żołnierzem, który za pomocą trąbki obwieszcza światu wiktorię nad Niemcami. Na zdjęciu wykonanym 18 maja 1944 roku – w dniu zdobycia przez 2. Korpus Polski gen. Władysława Andersa masywu Monte Cassino – plutonowy Emil Czech z 3. Batalionu Saperów odgrywa melodię Hejnału Mariackiego. W tle łopocze biało-czer-

wona flaga. To znak, że Polacy triumfują, nie pierwszy raz tej wojny walcząc „za naszą i waszą wolność”.

Fotografia obiegła świat już 82 lata temu i szybko stała się symbolem. Tę radosną i jakże symboliczną chwilę poprzedziły jednak krwawe walki o opanowanie silnie bronionego przez wroga masywu. Ich bilans był tragiczny: 923 Polaków poległo w boju, 2931 zostało rannych, a 345 uznano za zaginionych.

Rozkaz, który zmienił życie

– *Zadanie, które nam przypadło, rozstawi na cały świat imię żołnierza polskiego. W chwilach tych będą z nami myśli i serca całego Narodu, podtrzymywać nas będą duchy poległych naszych towarzyszy broni. Niech lew mieszka w Waszym sercu – tak do decydującego natarcia zagrzewał swych żołnierzy gen. Anders.*

Polacy ruszyli do walki w nocy z 11 na 12 maja, po uprzednim przy-

gotowaniu artyleryjskim. – *O godzinie 23:00 tysiąc dwieście dział alianckich i naszych rozpoczęło ostrzeliwanie wzgórze. Cała okolica tak była zadymiona, że z trudnością rozpoznawaliśmy siebie* – zapamiętał plut. Czech, który o okolicznościach swojego wyczynu opowiedział „Gazecie Robotniczej” w 1975 roku. W tym bitewnym zgiełku, pośród huków pocisków artyleryjskich, w dymie i kurzu, trudno było cokolwiek dostrzec. – *Ruszamy do ataku. Każdy krok na dość nierównym i skalistym terenie jest trudny. Trzecia Dywizja Strzelców Karpaccich naciera na maszyn Albaretta, piąta – na tzw. Widmo* – relacjonował uczestnik opisywanych wydarzeń.

Zacięte walki toczono przez tydzień. W końcu – 18 maja – nadeszło upra-



gnione zwycięstwo. Tego dnia, o poranku, do ruin klasztoru jako pierwszy dotarł patrol 12. Pułku Ułanów Podolskich, dowodzony przez ppor. Kazimierza Gurbieła. Radosna wieść o zdobyciu wzgórze nr 593 z okazałymi ruinami benedyktyńskiego klasztoru rozprzestrzeniła się niczym błyskawica. Na szczycie zdobytego terenu żołnierze zatknęli polski sztandar.

Wobec tej doniosłej chwili nikt nie mógł przejść obojętnie – wzruszenie mieszało się z radością i dumą z od-

niesionego sukcesu. Ale dla plutonowego Czecha to nie był czas na świętowanie. Lada chwila miał podjąć się morderczego zadania, które... rozślawi go na cały świat.

W cytowanym wywiadzie sprzed ponad 50 lat bohater spod Monte Casino, pytany przez Bogusława Bieńkowskiego, wspominał: *Po trudnym boju odpoczywaliśmy w schronach. Sanitariusze opatrywali rannych. Wtedy pojawił się właśnie por. Wodniacki, adiutant naszego dowódcy płk. Władysława Rakowskiego i mówi do mnie: „Plutonowy Czech, ubierajcie się szybko. Macie zgłosić się do dowódcy”. Płk Rakowski zwrócił się do mnie takimi słowami: „Plutonowy Czech, macie do wykonania bojowe zadanie. Pojedźcie pod klasztor i pod polską flagą odegracie Hejnał Mariacki”.*

Plutonowy Czech, macie do wykonania bojowe zadanie. Pojedźcie pod klasztor i pod polską flagą odegracie Hejnał Mariacki

płk Władysław Rakowski

Morderczy wyścig z czasem

Dla 35-latka rozpoczął się właśnie prawdziwy wyścig o życie – dystans do pokonania wynosił kilkanaście kilometrów, a wróg... czaił się wszędzie. Plutonowy nie spodziewał się aż takiego wyróżnienia! Z drugiej strony czuł ogromną presję i odpowiedzialność, jakie na nim spoczęły. Na realizację zadania miał zaledwie dwie godziny – punktualnie o godz. 12:00 rozbrzmiewał przecież hejnał z wieży Kościoła Mariackiego w Krakowie. W ten symboliczny sposób –

w zamyśle dowództwa – znajomy każdemu Polakowi dźwięk miał połączyć Monte Cassino z okupowaną ojczyzną.

– Otrzymałem trąbkę, tzw. cornet, i wraz z kierowcą ruszyliśmy samochodem – wspominał żołnierz, który podjął się niemalże straceńczej misji.

Podczas jazdy przez pobojuwisko ujrzał makabryczne obrazy – pojazd mijał roztrzaskane bunkry oraz schrony, uszkodzony i porzucony w toku walk sprzęt bojowy oraz uzbrojenie. Na poprzecinanym przez leje po bombach terenie leżały ciała poległych żołnierzy obu walczących stron, nie brakowało też martwych koni. Widok był przygnębiający, a fetor rozkładających się ciał przyprawiał o mdłości.

Na dodatek wycofujący się Niemcy otworzyli ogień, istniało więc realne niebezpieczeństwo utraty życia. W pewnym momencie, mniej więcej w połowie drogi, kierowca odmówił dalszej jazdy. – *Panie plutonowy, czy pan chce żyć? Bo ja chcę. Dalej nie jadę* – obwieścił. Czech wysiadł z samochodu i ruszył dalej pieszo.

Traf chciał, że po drodze spotkał znajomego lekarza z rodzinnej miejscowości, por. Stanisława Szczepanka, który podwiózł go bliżej ruin. Ostatni odcinek plutonowy pokonał walcząc z czasem i samym sobą – biegł i wspinał się po stromym terenie, wymykając się nieprzyjacielskim kulom.

Jakby strzała tatarska przebiła gardło

– *Na miejscu byłem piętnaście minut przed wyznaczonym czasem* – relacjonował po latach bohater tej spektakularnej misji. Wreszcie nadszedł upragniony moment – jego oczom ukazały się białoczerwone barwy, wywieszane tam rankiem na znak odniesionego zwycięstwa. Łzy szczęścia same cisnęły się do oczu. Emocje dominowały, choć zmęczenie było tak wielkie, że ciało zwyczajnie odmawiało już posłuszeństwa.

Bohater tej niesamowitej historii opowiadał: *Podchodzę pod falującą na wietrze flagę. Jestem wzruszony. Nie wiedziałem, czy potrafię zagrać ten hejnał należycie. Biorę do ust trąbkę i zaczynam grać. Przypomniałem sobie wówczas, że muszę przerwać w pewnym momencie i poczuć się tak, jakby strzała tatarska przebiła gardło. Wtedy właśnie zjawili się skądś jacyś fotoreporterzy, amerykański i polski.*

Zdjęcie trębacza uwiecznił na kliszy plutonowy Władysław Choma z 1. batalionu piechoty. – *W tym strasznym apokaliptycznym krajobrazie wyglądają zza kamieni żołnierze 4. Batalionu, śmiertelnie zmęczeni, zarośnięci, brudni. W zapadniętych oczodołach goreją tylko oczy nie-naturalnym blaskiem. I te oczy nagle potnieją, a później zaczynają cieknąć z nich łzy, kiedy nad klasztorem poja-*

Człowiek, dzięki któremu żołnierze gen. Andersa z rozrzewnieniem wysłuchali znajomych dźwięków, wzorowo wypełnił rozkaz

wia się polska, biało-czerwona chorągiew, otwierają się ze wzruszenia usta i coś tak łapie za gardło, kiedy przez stargane wybuchami powietrze płyną z klasztoru dźwięki trąbki – krakowskiego hejnału – wspominał autor ikonicznej fotografii.

Rozlegający się w samo południe z Monte Cassino hejnał znaczył naprawdę wiele. Dla polskich żołnierzy była to nie tylko dobrze znana melodia. Po latach tułaczki, po naznaczonej krwią i znojem walce z dala od ojczyzny, na pustyni czy w górach, usłyszeli dźwięk kojarzony z niepod-



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

ległą, choć utraconą Rzeczpospolitą. Obrazki z pamiętnego 18 maja 1944 roku mocno wryły się w psychikę plut. Chomy, który w decydującym momencie znalazł się z aparatem fotograficznym tam, gdzie być powinien.

Nawet po latach wzruszenie potrafiło przysłowioowo odbierać mu mowę: *Nie sposób mówić spokojnie o tym momencie, kiedy całą duszę człowieka widać było – w oczach. Ci zahartowani w wielu ciężkich bojach żołnierze, otrząskani na stokach Monte Cassino z widokiem tak potwornej ilości śmierci, rozmazali się jak dzie-*

ci, kiedy po tylu latach tułaczki, nie z radia, ale z niezdobytej dotąd niemieckiej twierdzy, wśród padających gęsto pocisków usłyszeli sygnał hejnału – głos Polski.

Człowiek, dzięki któremu żołnierze gen. Andersa z rozrzewnieniem wysłuchali znajomych dźwięków, wzorowo wypełnił rozkaz, pokonując wiele trudności. Jego dowódca także nie krył wzruszenia, ale w końcu zdobył się na prorocze, jak się okazało, słowa. – *Gdy odchodziłem – wspominał bohater tamtych chwil – zatrzymał mnie na moment i powiedział: Pamiętajcie*

plutonowy Czech, wasza trąbka i wasz hejnał przejdą kiedyś do historii...

Cichy bohater

Niesamowity wyczyn z 18 maja 1944 roku sprawił, że usłyszeliśmy o skromnym plutonowym z Bobowej pod Nowym Sączem. Sam Czech po wojnie nie obnosił się ze swoim wyczynem. O tym, że jego historia stała się szerzej znana, w dużej mierze zdecydował przypadek. Gdyby artykuł o hejnałście z „Gazety Robotniczej” nie trafił do rąk red. Jana Szatsznajdera, innego uczestnika walk o Monte Cassino, prawdopodobnie – ze względu na komunistyczną cenzurę – nie ujrzałby nigdy światła dziennego!

Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności poznaliśmy wojenną rela-

osiem miesięcy. – Na przełomie lat 1940/1941 dotarła do nas wiadomość, że będziemy walczyć pod Tobrukiem. Trudno jest opisać radość, jaka zapanowała w związku z tym w oddziałach. Po przybyciu na miejsce zastaliśmy ponury widok. W porcie dziesiątki zniszczonych i zatopionych statków... Walkę z wrogiem utrudniał dokuczliwy upał. Temperatura powietrza dochodziła do 50 stopni Celsjusza – wspominał plut. Czech w rozmowie z red. Bieńkowskim.

Boje o libijską twierdzę okupił ranami i pobytem w szpitalu. Skutki walk odczuwał do końca życia – jeden z odłamków niemieckiej kuli utkwiał głęboko w jego ramieniu.

Żołnierski los zawiódł go w końcu na Półwysep Apeniński. Pod rozkaza-

tu żony – Marii, zdecydował się na powrót do zniewolonej ojczyzny. Wyjechał tam w 1947 roku, osiem lat od momentu, gdy ostatni raz widział się z ukochaną! Oboje mieszkali w Kłodzku, gdzie też spędzili resztę życia.

Władze komunistyczne utrudniały bohaterowi codzienną egzystencję, traktując go jako obywatela drugiej kategorii. Powód wydawał się oczywisty – plut. Czech był przecież żołnierzem wyklętej Armii Andersa, walczącej u boku alianckich „imperialistów”. W tamtej rzeczywistości człowiek z taką przeszłością nie mógł przecież, ot tak, znaleźć dobrej pracy...

Po początkowych trudnościach, w 1952 roku bohater spod Monte Cassino zatrudnił się w Polskich Kolejach Państwowych. Pracował tam ponad 20 lat, aż do swojej emerytury. Przez cały ten okres był aktywny społecznie. Zamiłowanie do muzyki zostało mu na lata: należał do orkiestry kolejowej oraz śpiewał w chórze kościelnym.

Nie zapomniał o byłych towarzyszach broni, z którymi dzielił żołnierski los. W 1974 roku, mimo starań, nie otrzymał jednak zgody na wyjazd na uroczystości pod Monte Cassino, w 30. rocznicę polskiego triumfu.

Emil Czech zmarł 26 marca 1978 roku. Jego grób na cmentarzu komunalnym w Kłodzku został wpisany do ewidencji grobów weteranów walk o wolność i niepodległość Polski.

W 78. rocznicę zdobycia Monte Cassino – 18 maja 2022 roku – w kłodzkim Parku Przyjaźni Wojsk Górskich odsłonięto pomnik bohatera, współfinansowany przez Instytut Pamięci Narodowej.

Monument odwzorowuje postać trębacza ze słynnej fotografii i przywołuje doniosłą chwilę sprzed 82 lat – symbol zwycięstwa, hartu ducha i tęsknoty za wszystkim, co polskie. ■



Plutonowy Emil Czech z żoną Marią FOT. AIPN

cję bohatera o duszy artysty. Człowieka, który już długo przed wojną spełniał się jako muzyk w orkiestrze wojskowej.

We wrześniu 1939 roku trąbkę zamienić musiał na karabin. Walczył m.in. pod Stryjem. Po internowaniu na Węgrzech przedostał się przez Jugosławię, Grecję, Turcję i Syrię do Palestyny, gdzie wstąpił do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich gen. Stanisława Kopańskiego.

Stamtąd przerzucono go drogą morską do Aleksandrii w Egipcie, a następnie pod Tobruk, gdzie spędził

Gdy odchodziłem dowódca zatrzymał mnie na moment i powiedział: Pamiętajcie plutonowy Czech, wasza trąbka i wasz hejnał przejdą kiedyś do historii...

mi gen. Andersa uczestniczył w bojach o przełamanie Linii Gustawa. Swoją wartość bojową udowodnił nie tylko pod Monte Cassino, walcząc także m.in. o Ankonę i Bolonię. Niewiele brakowało, a zginąłby na włoskiej ziemi – został ciężko ranny podczas nalotu pod Loreto.

Niechciany życiorys

Po wojnie los rzucił tysiące żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie do Wielkiej Brytanii. Słynny trębacz także trafił na Wyspy, jednak po otrzymaniu informacji o miejscu poby-

Z widokiem na Górę Ofiarną

TEKST | Przemek Budzich

Wszedłem do tego Domku Doktora i do dziś to widzę (...) doktor Majewski potąd we krwi (...). Tam przecież nic nie było, to wszystko przy lampach czy przy świecach się robiło. I on tam te pierwsze zabiegi. Co trzeba było, zastrzyk, czy jak już coś wisiało, obcinał – wspominał Bonifacy Kowalewski, jeden z tych żołnierzy, którzy podczas Bitwy o Monte Cassino trafili do tzw. Domku Doktora – miejsca, gdzie ratowano życie rannym, czyli Batalionowego Punktu Opatrunkowego.

Wraz z historią wojen ewoluowała doktryna niesienia pomocy ofiarom bitew. Źródło nowoczesnej medycyny pola walki to epoka napoleońska, gdy chirurg Bonapartego, Dominique-Jean Larrey, wprowadził procedurę triażu – segregacji rannych w zależności od stopnia obrażeń, dzięki czemu najszybszą pomoc otrzymywali najciężej ranni.

Gdy Henri Dunant, po doświadczeniach bitwy pod Solferino, powołał Czerwony Krzyż, nie mógł się nawet domyślać, jak ogromną transformację przejdzie medycyna wojenna na początku XX w., stając przed wyzwaniem radzenia sobie z niespotykaną wcześniej skalą obrażeń, chorób i nowymi rodzajami broni w Wielkiej Wojnie. To z tych wzorców czerpa-

li dowódcy formacji medycznych na frontach II wojny światowej. Nowoczesna wojna nie różniła się jednak od wcześniejszych w podstawowej kwestii – szybkie dotarcie z pomocą do rannego dawało mu większe szanse przeżycia. Ta myśl przyświecała również polskim dowódcom w trakcie planowania bitwy o Monte Cassino.



Zbigniew Dłużniewski FOT. UDSKIOR



Zbigniew Gonddek
FOT. DOMENA PUBLICZNA

rze, pielęgniarki, a także nowoczesny sprzęt i lekarstwa. Po raz pierwszy polscy żołnierze otrzymywali tam m.in. penicylinę. Ten standardowy łańcuch pomocy, oparty na obowiązującej doktrynie, musiał jednak zostać zmodyfikowany. Doświadczenia poprzedników atakujących masyw skłoniły polskie dowództwo do rozszerzenia opieki sanitarnej na polu bitwy o Batalionowe Punkty Opatrunkowe, miejsca pierwszej profesjonalnej pomocy lekarskiej. BPO miały znaj-

Gdy 12 maja 1944 roku, godzinę po północy, ruszył pierwszy atak na masyw Monte Cassino, każdy najdrobniejszy element, który składał się na opiekę medyczną 2. Korpusu Polskiego, był w pełnej gotowości. Żołnierzy wyposażono w opatrunki osobiste, do pomocy sanitarnej ściągnięto żołnierzy z jednostek, które nie brały udziału w ataku, na drogach ewakuacyjnych, pod niemieckim ostrzałem, czekali noszowi, rozlokowani pomiędzy punktami „przeładunkowymi” tak, aby transport rannych do szpitali polowych odbywał się szybko i płynnie. Ostatnim ogniwem tego łańcucha były placówki specjalistyczne – trzy szpitale wojenne.

Największy z nich – 5. Szpital Wojenny – znajdował się w Casamassima, gdzie na rannych czekali leka-

Mimo zajęcia wzgórze 593, jego utrzymanie okazało się niemożliwe. Gdy Niemcy rozpoczęli kontratak, w dół, ku Domkowi Doktora spłynęła fala rannych

dować się tuż za pozycjami wyjściowymi – jak to określono – „niebezpiecznie blisko wroga”, by niewielka odległość dawała rannym większą szansę na przeżycie. Czas pokazał, że decyzja ta była słuszną.

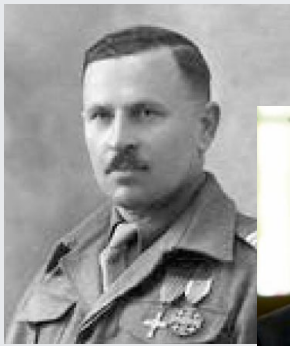
– *Żołnierze golili się, czyścili battle-dressy, pastowali buty. Jakby szli*

na bal, a nie na najcięższy bój – wspominał ostatnie chwile przed natarciem Tadeusz Czerkawski z 3. Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej. – *W końcu nadeszła godzina „H”, punktualnie o 23.00 zrobiło się tak widno dookoła, że w niektórych miejscach można by czytać gazetę* – opowiadał Antoni Łapiński z 1. Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej, w czasie bitwy przydzielony do zespołu sanitariuszy-noszowych przy Domku Doktora.

Ów „domek” był niewiele wystającym ponad poziom gruntu gruzowiskiem, zbombardowanym wielokrotnie przez artylerię jeszcze w trakcie wcześniejszych natarć na masyw. Właśnie tam, w ciasnych piwnicach dawnego, niewielkiego budynku mieszkalnego utworzono najbardziej wysunięty z punktów sanitarnych. Przez szczeliny w kamieniach – niewielkie „okna” – rozpościerał się widok na podnóże szczytu 593 zwanego Górą Ofiarną, na którą nacierali żołnierze 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Gdy 12 maja, godzinę po północy, polska piechota ruszyła do morderczego ataku, okazało się, że dwugodzinna nawała artyleryjska nie spełniła swojego zadania, a Niemcy bronią się zawięście.

– *Dowódcy zakładali, że nawałnica artyleryjska uciszy Niemców i że nie będzie większych problemów z natarciem (...). A okazuje się, że oni tam przetrwali i momentalnie, jak się zaczęło natarcie, to oni zaczęli kosić (...). Karabiny maszynowe MG 42 (...), ponad tysiąc sześćset naboju strzela w ciągu minuty, to jest ogromna siła ognia, przy tych łysych górach, gdzie nie można się ukryć, to zabójcza* – wyjaśniał Zbigniew Dłużniewski, sanitariusz z 2. Brygady Strzelców Karpackich.

Mimo zajęcia wzgórze 593, jego utrzymanie okazało się niemożliwe. Gdy Niemcy rozpoczęli kontratak, w dół, ku Domkowi Doktora spłynęła



Bonifacy Kowalewski
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Antoni Łapiński FOT. UDSKIOR



dr Adam Majewski
FOT. DOMENA PUBLICZNA

fala rannych. Z rozkazami do położonego nieopodal BPO punktu dowodzenia 3. Batalionu Strzelców Karpackich biegł w trakcie bitwy goniec. W ciemności pomylił miejsca i trafił prosto do Domku Doktora. – *Wszedłem do tego Domku Doktora i do dziś to widzę: nosze stały, bo te nóżki są na noszach, stękali ludzie, doktor Majewski potąd we krwi, to był normalny stół, lampy. Tam przecież nic nie było, to wszystko przy lampach czy przy świecach się robiło. I on tam te pierwsze zabiegi. Co trzeba było, zastrzyk, czy jak już coś wisiąło, obcinał, ja na to popatrzyłem. Rzekomo mówili, że później Majewski zemdłał, już dalej nie mógł, przyszedł inny lekarz* – opowiadał Bonifacy Kowalewski z 3. Batalionu 3 DSK.

Tym doktorem, którego opisywał Kowalewski, nie był Majewski. W trakcie bitwy rolę tę pełnił lekarz 2. Batalionu dr Edmund Gaweł. Przybył on na to stanowisko w nocy z 9 na 10 maja, zastępując pełniącego dyżur dr. Adama Majewskiego. To jednak Majewski, a nie Gaweł, zapisał się w pamięci weteranów, dzięki powojennej powieści „Wojna, ludzie i medycyna”, w której opisał dokładnie swoją służbę. Jego punkt znajdował się kilkaset metrów za Domkiem Doktora, w tzw. Dużej Misce i trafiali do niego głównie ranni żołnierze 1. Batalionu, którzy ze względu

na ukształtowanie terenu „omijali” Domek Doktora.

– *Pracowałem na klęczkach. Byłem cały utyłtany we krwi. Wśród potępieńczego jęku ludzi cierpiących lub konających wykonywałem mechaniczne ruchy odsłaniania, oglądania i bandażowania ran. Zabrakło jody-*

Żołnierze golili się, czyścili battle-dressy, pastowali buty. Jakby szli na bal, a nie na najcięższy bój

ny. Wstrzykiwaliśmy morfinę, surowicę, owijaliśmy rany, kładliśmy ludzi na nosze i wysyłaliśmy dalej. Gdy nogi mi drętwiały od klęczenia, wtedy siadałem i pracowałem siedząc. Stać nie mogłem, bo bunkier był niski, i zresztą ranni leżeli na ziemi. Na oko sądząc do drugiej w nocy przeszło przez nasze ręce ponad stu rannych, a może i więcej – pisał po wojnie w swojej książce dr Adam Majewski. Walka trwała całą noc, żadna ze stron nie mogła zdobyć decydującej przewagi. Efektem tego były wysokie straty wśród żołnierzy.

– *Dwunastego rano zaczęto schodzić, całe grupy tych poranionych.*

O własnych siłach niektórzy szli. Bo dosłownie zabrakło noszy. Pamiętam dwóch ich było, przekrzywione hełmy, jeden miał odłamek w oku, a był tak pod wpływem tej emocji, cały czas opowiadał „a ja mu dałem”. Opowiadał o zdobyciu jakiegoś bunkra (...), nie narzekał, a przecież miał szalony ból (...), a mimo to żył cały czas walką, że musi ten bunkier zdobyć – opowiadał Zbigniew Dłużniewski.

– *Sprowadzali mnie na dół, zostałem ranny na przedpolu. Kroczek i w dół, kroczek i w dół. Dziś jak się patrzy na te góry, to tamten wysiłek wydaje się niewyobrażalny. Gdy szliśmy do ataku mówili nam, że 593 jest zdobyte. Nie było. Idąc, dostaliśmy strzały z boku i z tyłu. Najgorsze były moździerz i broń maszynowa. Ja nigdy nie myślałem, że zostanę zabity, nie przychodziło mi to do głowy, gdy zostałem ranny* – wspominał Zbigniew Gondek, odznaczony Virtuti Militari za późniejsze walki pod Ankoną, gdzie „odpłacił się” ratując życie kolegów.

– *Żołnierze ranni, mimo że otrzymali często środki medyczne, wciąż byli w emocjach, nawet ciężiej ranni opowiadali, jak wskakiwali z pistoletami maszynowymi do bunkra, wrzucali granaty (...) Innym razem nie udawało się i Niemcy ich ranili, kole-dzy ginęli...* – opowiadał Antoni Łapiński. – *My noszowi byliśmy na nogach dwie noce, wyczerpani do cna, nosząc kilometrami rannych żołnierzy... W końcu przyszła i taka myśl, że chciałbym zostać rannym, żeby wreszcie odpocząć* – dodał. ■

Tekst na podstawie notacji z weteranami: Tadeusz Czerkawski 4 III 2011, Warszawa
Zbigniew Dłużniewski 9 V 2016, Poznań
Zbigniew Gondek 17 V 2021, Cassino
Bonifacy Kowalewski 18 V 2009, Cassino
Antoni Łapiński 27 III 2017, Jerozolima

Przemek Budzich jest dziennikarzem, filmowcem, twórcą podcastu „Warcast”

1. Armia Wojska Polskiego w operacji berlińskiej

FOT. ROYAL AIR FORCE OFFICIAL PHOTOGRAPHER



TEKST | Łukasz Nadolski

Armijny, a dokładnie dwie jego dywizje: 5. Jäger-Division i 606. Infanterie-Division. Pierwsza z nich, pomimo poniesionych strat, była jednostką dobrą, z którą Polacy mieli okazję zmierzyć się na Pomorzu.

Początek udziału 1. Armii WP w operacji berlińskiej trudno było uznać za szczęśliwy. 15 kwietnia 1945 roku przeprowadzone rozpoznanie walką ujawniło skalę trudności. Akcja zakończyła się katastrofą: żołnierze zdołali dotrzeć tylko do wyspy znajdującej się na środku biegu rzeki i ze względu na ciężkie straty dalej się nie posunęli – zsumowane straty batalionu w dniach 15–17 kwietnia 1945 roku wyniosły 31 zabitych, 64 zaginionych (w praktyce zabitych, gdyż ciał nie odnaleziono) i 96 rannych. Działania

W chwili rozpoczęcia ostatniej kampanii w Europie podczas II wojny światowej 1. Armia Wojska Polskiego była formacją posiadającą już pewne doświadczenie bojowe. Na jej konto można było zaliczyć konkretne sukcesy, przede wszystkim przełamanie Wału Pomorskiego czy też zdobycie Kołobrzegu.

Generał Stanisław Popławski prowadził do boju pięć dywizji piechoty, brygadę kawalerii, pięć brygad artylerii, pułk moździerzy, pułk czołgów, dywizję i dywizjon artylerii przeciwlotniczej oraz wiele jednostek samodzielnych. Choć zwykli żołnierze w większości byli polskiego pochodzenia, to 40 proc. oficerów stanowili Sowieci.

1. Armia WP znalazła się na prawym skrzydle 1. Frontu Białoruskiego, pomiędzy dwiema armiami sowieckimi

– 61. na północy i 47. na południu. Miała ona wykonać przeprawę przez Odrę, a częścią sił wyjść z przyczółku gozdowieckiego pod Czelinem. Następnie przekroczyć Starą Odrę i nacierać w stronę Łaby. Podstawowym zadaniem polskich żołnierzy była osłona skrzydła 1. Frontu Białoruskiego na wypadek uderzenia z północy, północnego zachodu. Oprócz tego mieli oni uczestniczyć w okrążeniu Berlina i zabezpieczać szturm na miasto. Przeciwnikiem Polaków był CI Korpus

rozpoznawcze były prowadzone także na innych odcinkach, ale nie były one aż tak bolesne dla polskich jednostek.

Przygotowanie artyleryjskie rozpoczęło się o godz. 5.15 16 kwietnia 1945 roku. Polskie siły podzielone były na dwa zgrupowania. 1. Dywizja Piechoty (rejon Jabłonnej) i część 2. Dywizji Piechoty (na północ od Gozdowic) miały forsować Odrę, zaś reszta 2. Dywizji Piechoty i 3. Dywizja Piechoty – atakować z przyczółku gozdowieckiego.

Przeprawa napotkała zaciekły opór 5. Jäger-Division. 1. Dywizja Piechoty po ciężkich walkach zdołała uchwycić przyczółek o wymiarach 1500 na 3000 metrów, tracąc jednak 41 zabitych, 10 zaginionych i 190 rannych. Walcząca z 6. pułkiem piechoty 2. Dywizji Piechoty Grupa Pułkowa Sparrer w zasadzie powstrzymała Polaków. Dopiero gdy przełamana została obrona 606. Infanterie-Division, żołnierzom ppłk. Ignacego Garianina oraz 2. batalionowi szkolnemu udało się zdobyć mały przyczółek w rejonie Zollbrücke.

Polacy ponieśli w tych walkach ciężkie straty. 6. pułk piechoty miał 28 zabitych, aż 91 zaginionych i 107 rannych, zaś 2 batalion szkolny – 13 zabitych i 18 rannych. Wśród zaginionych (oczywiście w rzeczywistości zabitych, których ciał nie odnaleziono) w 6 pp był zastępca dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych, dowódca 2. batalionu oraz zastępca dowódcy 2. batalionu do spraw polityczno-wychowawczych. 606. Infanterie-Division stawiała zdecydowanie słabszy opór. 3. Dywizja Piechoty łatwo przełamała jej obronę, dochodząc do końca dnia do Alt Wustrow i Alt Wrietzen oraz pokonując ok. 6 km. Także nacierający wzdłuż Odry na północny zachód 5. pułk piechoty przebił się przez linie nieprzyjaciela, dotarł do Neulietzegöricke i połączył się ze skrwawionym 6 pp.

Drugiego dnia operacji, na skrajnie północnym odcinku, do walki weszła 6. Dywizja Piechoty, która zdołała wdrzeć się na 2 km, docierając do Paulshof. 1. Dywizja Piechoty w ciężkich walkach podeszła do kanału w rejonie miejscowości Neuküstrinchen. Postępy 2. Dywizji Piechoty nadal były ograniczone. Zdołała ona zdobyć Altreetz, ale została powstrzymana kontratakami Grupy Pułkowej Sparrer i 75. pułku strzelców. Największe sukcesy zanotowała 3. Dywizja Piechoty, która dotarła do Altmädewitz na

przedpolach Starej Odry. Także tutaj kontratakowały Grupa Pułkowa Sparrer i 75. pułk strzelców, według Niemców skutecznie. W międzyczasie na lewy brzeg Odry przerzucano artylerię, umożliwiając w ten sposób dalsze natarcie.

18 kwietnia 1945 roku przyniósł dalsze postępy 1. Armii WP. Wszystkie cztery nacierające dywizje piechoty dotarły do Starej Odry. Ponownie najbardziej męczyła się 1. Dywizja Piechoty. Następnego dnia polscy żołnierze sforsowali rzekę, włamując się na 12 km w głąb pozycji wroga.

Niemcy, mając świadomość przełamania, zdecydowali się wycofać na

problemów, rozciągając się na długości 30 km. O ile 47. Armia wyprzedziła Polaków, to 61. Armia pozostawała w tyle, odsłaniając prawe skrzydło WP. Pomimo oporu wycofujących się Niemców 1 DP zdobyła tego dnia Gersdorf, Neu Gersdorf i Tuchen. W 2 pp było tego dnia 5 zabitych i 22 rannych, ale 3 pp w ciężkich walkach o Trampe stracił 17 zabitych i 22 rannych. Bardziej na południe oddziały 2. i 3. Dywizji dotarły do Krüge, zaś 4 DP – do Brunow.

Popławski wprowadził do pierwszego rzutu 6. Dywizję Piechoty, co przyspieszyło natarcie. 4. Dywizja Piechoty dotarła do Kanału Hohenzoller-



FOT. ROYAL AIR FORCE OFFICIAL PHOTOGRAPHER

nową linię obrony (Köthen, Neu Gersdorf, Gersdorf, Krüge, Brunow). W takiej sytuacji o godz. 8.00 20 kwietnia 1. Armia WP przystąpiła do pościgu, mając w pierwszym rzucie cztery dywizje oraz jedną dywizję i brygadę kawalerii w drugim. W nowej sytuacji Wojsko Polskie szybko zdobywało teren. Do końca dnia armia znalazła się na linii: jezioro Gamensee, wschodni skraj Krüge, Hackelberg. Najdalej dotarła 4. Dywizja Piechoty, która już o świcie 21 kwietnia zdobyła Grüntal. Oznacza to, że 20 kwietnia 1. Armia pokonała kilkanaście kilometrów.

21 kwietnia 1945 roku 1. Armia kontynuowała natarcie bez większych

nów, ale próba przekroczenia z marszu przeszkody wodnej nie przyniosła powodzenia. 6. Dywizja Piechoty bez poważniejszych problemów osiągnęła Dammsmühle. 2. Dywizja Piechoty toczyła sporadyczne walki, przede wszystkim o Wandlitz i Basdorf, by dzień zakończyć nad Kanałem Hohenzollernów w okolicach Lehnitz. Bardziej na południe, w rejonie Borgsdorf, do kanału dotarła 3. Dywizja Piechoty. 1. Dywizja znalazła się pod koniec dnia na linii Klosterfelde-Zehendorf.

23 kwietnia 1945 roku 1. Dywizja Piechoty osiągnęła Kanał Hohenzollernów pomiędzy Bernöwe a Sandhausen, a 3., 4. i 6. Dywizja Piecho-

ty bez problemu go przekroczyły. Następnego dnia prawe skrzydło 1. Armii WP przeszło do obrony, osłaniając armię, ale i bitwę o Berlin. Centrum i lewe skrzydło kontynuowały natarcie i znalazły się na linii Kremmen, Flatow, Börnicke, Paaren, Nauen.

W międzyczasie Armia Czerwona zamknęła pierścień okrążenia dookoła Berlina. Zadanie osłony od północy Sowietów otrzymała 1. Armia WP, która broniła się na odcinku około 50 km. Na prawym skrzydle znalazła się 1. Dywizja Piechoty, a dalej na zachód i południe – 2., 3., 6. i 4. Dywizja Piechoty. W odwodzie znalazła się 1. Brygada Kawalerii.

Ostatecznie Niemcy podjęli tak naprawdę tylko jedną poważną próbę przełamania pierścienia dookoła stolicy III Rzeszy. Polska 2. Dywizja Piechoty wytrzymała jednak cios pomimo dość intensywnych walk, a w nocy z 27 na 28 kwietnia Grupa Armijna „Steinera” została na tym odcinku zmuszona do odwrotu.

Jeszcze w nocy z 26 na 27 kwietnia 1945 roku Popławski otrzymał rozkaz wznowienia natarcia. Generał zakładał, że do ataku ruszą 3, 6 i 4 DP, zaś

1 i 2 DP oraz 1 BK miały nadal bronić prawego skrzydła armii.

Pomimo znacznej przewagi polskie natarcie nie osiągnęło specjalnych sukcesów. Atak 3 DP napotkał zacięty opór Regimentu „902” w rejonie Linow. Dywizja nie osiągnęła większych sukcesów. Niewiele lepiej poszło 6 DP, która starła się z Brigade „von Wolff” i posunęła się o 3 km. Najwięcej osiągnęła znajdująca się na lewym skrzydle 4 DP, która pokonała ok. 10 km. Nie może wszakże to dziwić, biorąc pod uwagę, że Brigade „von Wolff” zajmowała pozycje obronne w zasadzie równoległe do pasa natarcia tej dywizji. Rankiem 28 kwietnia 1945 roku 3., 6. i 4. Dywizja Piechoty wznowiły natarcie. Jednak ani tego dnia, ani 29 i 30 kwietnia nie osiągnięto większych sukcesów.

Warto wspomnieć, że w tym czasie niektóre polskie jednostki brały udział w walkach o stolicę III Rzeszy. Bez wątplenia symboliczny był udział w szturmie Berlina 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, która szlak bojowy rozpoczęła pod Lenino. Jednostka otrzymała nowy rozkaz nocą z 28 na 29 kwietnia 1945 roku. Żołnierzy przewieziono samo-

chodami i podporządkowano 2. Armii Pancernej Gwardii, tak by mogli osłonić wozy pancerne, które ponosiły w terenie zabudowanym ciężkie straty. Polscy żołnierze wspierali natarcie 12. Korpusu Pancernego i 1. Korpusu Zmechanizowanego, nacierając na wschód z zachodniej części miasta, przez Tiergarten i Bramę Brandenburską, w stronę centrum sektora „Z”.

Polacy ruszyli do natarcia 30 kwietnia 1945 roku, napotykając zacięty opór. Ciężkie straty ponosiły sowieckie czołgi wrażliwe na ogień Panzerfaustów i Panzerschrecków. 3 pp dotarł do stacji Tiergarten i kanału Landwehr, ale dalsze natarcie zostało powstrzymane. 2 pp bił się na Berliner Strasse, łamiąc uporczywy opór wroga. 1 pp przebił się nad ramię 1 maja do Karl August Platz. Walczono o każdą barykadę i dom, a nieprzyjaciel bił się zaciekle do samego końca.

Rankiem 1 maja 1945 roku rozpoczął się generalny atak na centrum miasta. Szturm 1 pp i 19. Brygady Zmotoryzowanej na kościół na Karl August Platz zakończył się niepowodzeniem. Dopiero powtórne uderzenie, pod osłoną zadymienia, przynio-

W 81. rocznicę zawieszenia przez polskich żołnierzy biało-czerwonej flagi nad zdobytym Berlinem w stolicy Niemiec odbyły się uroczystości, w których wzięli udział przedstawiciele środowisk kombatanckich, polskich władz oraz niemieccy parlamentarzyści. Hold polskim żołnierzom oddał zastępca szefa UdSKIOR – Michał Syska. Uroczystości współorganizowane przez Urząd rozpoczęły się przy budynku Uniwersytetu Technicznego, który w czasie walk o Berlin stanowił jeden z najsilniejszych punktów oporu na drodze do

FOT. UDSKIOR



Kancelarii Rzeszy i został zdobyty przez 1. Warszawską Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Następnie delegacja udała się przed Kolumnę Zwycięstwa, gdzie po 81 latach ponownie wywieszono biało-czerwoną flagę. Wyjątkowa uroczystość odbyła się także naprzeciwko Bundestagu, przed tymczasowym Pomnikiem Polski 1939–1945, gdzie oddano hold wszystkim ofiarom i bohaterom walki z niemieckim faszyzmem.

Obchody 81. rocznicy zdobycia Berlina zakończyło spotkanie w siedzibie Instytutu Pileckiego, gdzie odznaczono polskich i niemieckich działaczy społecznych i naukowców, strzegących pamięci o walce i bohaterstwie polskich żołnierzy, którzy od pierwszego do ostatniego dnia wojny stawiali czoła niemieckiemu przeciwnikowi na różnych frontach II wojny światowej.

sło sukces. Polacy uderzyli następnie na Pestalozzi Strasse i Schiller Strasse. Do końca dnia pułk dotarł do Weimarer Strasse, likwidując po drodze duże zgrupowanie wroga na jednej ze stacji metra. Także dwa poranne uderzenia 2 pp nie przyniosły powodzenia. Popołudniowe i nocne szturmowe Politechniki Berlińskiej zostały odparte. Dopiero wsparcie artylerii i moździerzy umożliwiło zdobycie rankiem 2 maja tego ważnego punktu oporu. 3 pp nacierał w stronę stacji Tiergarten. Do końca 1 maja polscy żołnierze dotarli do mostu nad kanałem w Tier-



garten oraz dworca kolejowego i przystąpili do jego zdobywania, ale nie byli w stanie go opanować do końca dnia.

Tymczasem niemiecki sztab obrony Berlina, uznając sytuację za beznadziejną, zdecydował się na kapitulację. Informacja o tym nie dotarła jednak do wszystkich jednostek niemieckich, jak również Wojska Polskiego i Armii Czerwonej. Dlatego też walki były kontynuowane do ranka 2 maja 1945 roku, po czym Polacy rozpoczęli oczyszczanie terenu. Żołnierze 3 pp, wspólnie z czerwoarmistami, dotarli do Bramy Brandenburskiej, symbolicznie kończąc udział „kościuszkowców” w szturmie stolicy III Rzeszy.

Tymczasem 30 kwietnia 1945 roku przyniósł wreszcie przełom dla

1. Armii WP. Niemcy wycofali się na zachód (przed sowiecką 61. Armią) i północny zachód. W takiej sytuacji 1 maja 1945 roku polska armia wznowiła atak w stronę Łaby. Popławski podzielił swoje siły na dwa zgrupowania: 3, 6 i 4 DP oraz 2 DP i 1 BK. Wobec odwrotu Niemców osiągnięto natychmiastowe sukcesy. 2 DP zdobyła Linum i Hakenberg, o które w poprzednich dniach trwały ciężkie walki, i pokonała 12 km. Nadal sukcesów nie odnosiła 3 DP, która zdołała przesunąć się na zachód o zaledwie 3 km. Zdecydowanie lepiej szło 6 DP, która wspólnie z 4 DP zdobyła Friesack i pokonała 8 km. 4 DP współdziałała w czasie natarcia także z 2. Korpusem Kawalerii Gwardii.

2 maja 1945 roku 1. Armia WP kontynuowała natarcie w pasie ok. 20 km, mając trzy dywizje w pierwszym rzucie. Niemcy stawiali słaby i sporadyczny opór. 2 DP przeszła 20 km i zdobyła przyczółek na kanale Alte Dosse. 6 DP zdobyła Rihnow, zaś 4 DP przesunęła front o 15 km. Widać wyraźnie, że opór nieprzyjaciela praktycznie zanikł. Czołowe pododdziały 6 i 4 DP dotarły do Haweli, ale nie zdołały zdobyć przyczółków po drugiej stronie rzeki. 4. Samodzielny Pułk Czołgów Ciężkich i 13. Pułk Artylerii Pancerniej utknęły w Landin, przy zniszczonym moście.

Rankiem 3 maja 1945 roku siły główne 6. i 4. Dywizji Piechoty przystąpiły do forsowania Haweli. Pomimo generalnego odwrotu Niemców w stronę Łaby ponownie pojawiły się problemy. O ile 2. batalion 14 pp zdobył przyczółek, to 3. batalion 14 pp został odrzucony. O godz. 15.20 2. batalion 14 pp jako pierwszy dotarł do Łaby. Inne pododdziały 6 DP nie napotkały poważniejszego oporu. Także 4 DP zdobyła przyczółki na rzece. Polacy natychmiast przystąpili do natarcia, ale napotkali silny opór nieprzyjaciela, który próbował opóźnić ich postępy.

4 maja 1945 roku do pierwszego rzutu ponownie została wprowadzona 2 DP. Co prawda trwały jeszcze sporadyczne walki, ale trzy polskie dywizje szerokim frontem wyszły nad Łabę. W zasadzie dzień ten oznaczał koniec aktywnych działań polskiej armii. Ostatnie strzały padły 6 maja 1945 roku na odcinku 4 DP. Tego samego dnia 1. Armia WP została zluzowana i wycofała się na północ od Berlina. Tam Polaków zastała kapitulacja III Rzeszy.

Udział w operacji berlińskiej pociągnął za sobą poważne straty 1. Armii WP. Zginęło 2310 żołnierzy, a 967 zaginęło. Co prawda było wśród nich trochę dezertersów, ale zdecydowana większość poległa. Oznacza to, że najprawdopodobniej zginęło ponad 3 tys. żołnierzy 1. Armii WP. Oprócz tego rannych zostało 6992 żołnierzy, a straty niebojowe wyniosły 116 ludzi. W sumie było to 10 385, czyli 13,2 proc.

1. Armia WP zgłosiła zabicie lub zranienie 8500 żołnierzy wroga. Jest to o tyle ciekawe i wyjątkowe, że było to w zasadzie jedyny przypadek bitwy/operacji, w której deklarowane straty nieprzyjaciela (bez jeńców) były mniejsze od strat wojska polskiego na wschodzie. Oznaczałoby to straty na poziomie ok. 3000 zabitych. Można przyjąć, że prawdziwe straty niemieckie podczas walk z 1. Armią WP wyniosły ok. 300 zabitych i 700 rannych. Oprócz tego polscy żołnierze twierdzili, że wzięli do niewoli 5118 jeńców.

Na tle innych bitew Wojska Polskiego na froncie wschodnim udział 1. Armii WP w operacji berlińskiej wypadł całkiem dobrze, prawdopodobnie będąc największym sukcesem „ludowego” WP obok zdobycia Kołobrzegu. ■

Dr hab. Łukasz Nadolski (Muzeum Wojsk Łągowych w Bydgoszczy)

Przeżył Auschwitz, nie przeżył Mokotowa



dr Bartłomiej Kapica
FOT. INSTYTUT PILECKIEGO

Dobrowolnie dał się zamknąć w KL Auschwitz, przeżył obóz, walczył w Powstaniu Warszawskim i trafił do niemieckiej niewoli, by już po wojnie dołączyć do żołnierzy gen. Władysława Andersa. Wrócił jednak do Polski, by prowadzić działalność wywiadowczą przeciwko komunistycznym władzom – i to one, a nie III Rzesza, pozbawiły go życia.

O brutalnym śledztwie, procesie i egzekucji rtm. Witolda Pileckiego opowiada dr Bartłomiej Kapica, historyk z Instytutu Pileckiego, który kieruje tam pracami Ośrodka Badań nad Totalitaryzmami.

Dlaczego Pilecki w ogóle wrócił do Polski? Przecież po wyzwoleniu obozu jenieckiego w Murnau mógł zostać na Zachodzie – wolny i bezpieczny.

To jest pytanie, które trzeba łączyć przede wszystkim z osobowością Witolda Pileckiego i z jego poczuciem obowiązku. W Murnau przebywał z towarzyszami z Armii Krajowej, spotykał przedwojennych oficerów Wojska Polskiego, a po wyzwoleniu obozu dotarł tam także gen. Władysław Anders, który wówczas bardzo jednoznacznie określił sytuację w kraju – po przejściu władzy przez komunistów nie można mówić o niepodległej Polsce. Sytuacja ta miała być przejściowa. Anders przewidywał nieuchronną konfrontację między Związkiem Sowieckim a aliantami zachodnimi, a w takim momencie potrzebna byłaby aktywność ludzi w kraju, którzy mogliby dostarczać informacji i działać na rzecz faktycznie niepodległej Polski.

Z kolei sam Pilecki wielokrotnie powtarzał w swoich wspomnieniach, że

dla niego najważniejsza była służba ojczyźnie. To oczywiście brzmi bardzo górnolotnie, ale w jego przypadku oddawało rzeczywiste intencje. Nawet kiedy w II Rzeczypospolitej nie nosił munduru i mieszkał w Sukurczach, swoją oddolną, społecznikowską aktywność postrzegał jako pracę na rzecz państwa. Decyzja o powrocie do kraju była więc logiczną konsekwencją jego rozumienia obowiązków obywatela wobec państwa – państwa, które wówczas nie było niepodległe.

Wraca jako Roman Jeziński, z fałszywymi dokumentami. Trafia do zrujnowanej Polski. Jak wyglądał ten powrót?

Nie wraca wprost do Warszawy. Droga biegnie przez Pragę, Zakopane, Kraków, Częstochowę – dopiero potem Warszawa. Pamiętajmy, że Polska w latach 1945–1946 była w stanie wielkiej płynności. Ludzie przemieszczali się masowo, mobilność Pileckiego nie była niczym nadzwyczajnym. Na miej-

scu okazało się, że struktury, na których pierwotnie chciał się oprzeć, praktycznie nie istnieją. Pilecki po ucieczce z Auschwitz został oddelegowany przez Komendę Główną AK do organizacji „NIE”, czyli takiej drugiej, głębiej zakonspirowanej struktury, przygotowanej na czas po wejściu Armii Czerwonej. Ale po powrocie okazało się, że jego najbliżsi współpracownicy z „NIE” nie żyją. Musiał więc budować sieć ludzi właściwie od zera.

Czy to była klasyczna konspiracja?

Nie do końca pasuje tu słowo „konspiracja”, bo ono sugeruje strukturę przygotowaną do zbrojnego wystąpienia przeciw władzy. W przypadku Pileckiego trzeba to mocno zniuansować. Oczywiście działał w opozycji do rządu komunistycznego, ale nie organizował przecież powstania ani akcji terrorystycznych. Przeciwnie – odżegnywał ludzi od walki zbrojnej, od działań, które mogłyby prowadzić do

obalenia siłą komunistycznej władzy, gdyż nie wierzył w skuteczność działań zbrojnych pod tym względem, zwłaszcza mając na uwadze ogromną cenę krwi, jaką Polska zapłaciła w trakcie wojny.

Jego zadanie polegało na zbieraniu informacji o rzeczywistości kraju podporządkowanego komunistom. Dziś powiedzielibyśmy, że w dużej mierze był to tzw. biały wywiad. Pilecki nie prowadził działalności szpiegowskiej w takim sensie, jaki później przypisywali jej komuniści. Nie miał osobowych źródeł informacji, które zadaniował, nie wysyłał ludzi po dokumenty „ściśle tajne”, nie wypłacał im za to wynagrodzeń. Pozyskiwał informacje, które w dużej mierze były dostępne, ale które pokazywały realny obraz kraju.

Na kim oparł grupę?

To były przede wszystkim osoby, którym mógł zaufać. Ludzie związani wcześniej z Tajną Armią Polską, czyli z tą konspiracją, od której Pilecki zaczął swoją drogę w podziemiu, oraz byli więźniowie Auschwitz. To były wybory naturalne: potrzebował ludzi ideowych, sprawdzonych w najgorszych warunkach, bliskich mu doświadczeniem i wartościami. Ta grupa była zresztą dość nieliczna i nie miała charakteru klasycznej organizacji. Nie było formalnej nazwy, nie było rozbudowanych struktur – chodziło o zbieranie i przekazywanie informacji – zwłaszcza dotyczących realnej sytuacji w kraju, w którym władzę od niedawna sprawowali komuniści.

Pilecki był bardzo doświadczonym konspiratorem. Jak więc bezpieka wpadła na jego trop?

Tu mamy kilka hipotez i nie chciałbym mówić, że jedna jest dziś bezwzględnie pewna, a inne mniej prawdopodobne. Problem polega na braku części dokumentacji, która mogłaby jednoznacznie rozstrzygnąć tę kwe-

stię. Natomiast istotną postacią w tej sprawie był Stanisław Leszek Kuchciński, używający pseudonimów „Bigiel”, „Podkowa” i „Brzeszczot”. Był związany z dawnym środowiskiem TAP, miał więc naturalne wejście w środowisko Pileckiego. Pojawia się też postać Wacława Alchimowicza z MBP i mechanizm podwójnego werbunku. W największym skrócie: Kuchciński miał werbować Alchimowicza dla podziemia, a Alchimowicz – za wiedzą swoich przełożonych – werbował Kuchcińskiego dla bezpieki.



We wrześniu 1946 roku Kuchciński nawiązał kontakt z Tadeuszem Płużańskim, jednym z najbliższych współpracowników Pileckiego. To dawało MBP bardzo poważny wgląd w funkcjonowanie całej grupy. Ale czy właśnie to było rozstrzygające? Tu byłbym ostrożny. Ten wątek szczegółowo analizuje Tomasz Łabuszewski w jednym z artykułów, ale jednoznacznych odpowiedzi nie ma.

Pojawia się też tzw. raport Brzeszczota – dokument z listą wysokich funkcjonariuszy MBP, m.in. Różańskiego i Brystygierowej, przeznaczonych rzekomo do fizycznej likwidacji. To była prowokacja?

Możemy powiedzieć, że ten raport został przekazany do sztabu 2. Korpusu Polskiego. Co ciekawe, sprawie nie nadano dalej biegu. To można interpretować jako sygnał, że decydenci rozumieli, iż mają do czynienia z prowokacją bezpieki. Sam Pilecki i osoby pośredniczące w tej sprawie wykazywali wobec raportu daleko idący sceptycyzm. Moim zdaniem chodziło raczej o zbudowanie narracji do aktu oskarżenia. Architekci sprawy potrzebowali elementu będącego rzekomym zagrożeniem życia funkcjonariuszy reżimu.

To jest model znany z praktyki sowieckiej. Bierze się jakąś realną działalność oskarżonego i przedstawia ją w krzywym zwierciadle. W przypadku Pileckiego zbieranie informacji pokazano jako szpiegostwo. A obok tego dokładano element narracyjny, który nie musiał mieć realnego związku z aktywnością oskarżonego, ale pozwalał mówić o terrorze, zamachach i fizycznym zagrożeniu dla władzy.

Jak wyglądało samo zatrzymanie Witolda Pileckiego?

8 maja 1947 roku Pilecki przyszedł do mieszkania Makarego Sieradzkiego przy ul. Pańskiej 45 w Warszawie. Tam był już założony tzw. kocioł, czyli zasadzka bezpieki. Sieradzki i jego żona zostali zatrzymani wcześniej, ale Pilecki tego nie wiedział. Rotmistrz oczywiście zdawał sobie sprawę, że może być obserwowany i są wspomnienia Makarego Sieradzkiego, z których wynika, że o tym rozmawiali. Ale Pilecki uważał, że skoro zobowiązał się do prowadzenia tej działalności, nie może jej porzucić wyłącznie z powodu osobistego zagrożenia.

Poza tym chyba trochę wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Jeśli prześledzimy jego życiorys, widzimy, że on wielokrotnie miał niebywałe szczęście: w wojnie polsko-bolszewickiej, w kampanii 1939 roku, w Auschwitz, w Powstaniu Warszawskim,

w którym nie został nawet lekko ranny.

Trafia na Rakowiecką. Wokół śledztwa pojawiają się słowa, które sam miał powiedzieć żonie: „Oświęcim to była igraszka”. Co wiemy o tym, co się z nim działo?

Na pewno możemy powiedzieć, że Pilecki był torturowany. Trzeba tylko pamiętać o obłudzie dokumentacyjnej aparatu represji: w protokołach nie znajdziemy przecież zapisu, że oskarżony był torturowany. Historyk musi to wydedukować ze źródeł, z relacji, z przebiegu przesłuchań, z podpisów, z zachowań oskarżonych. I kiedy przegląda się dziesiątki tysięcy stron dokumentów wytworzonych przez bezpiekę, zaczyna się widzieć, kiedy więzień jest poddawany bezpośredniemu brutalnemu naciskowi.

W przypadku Pileckiego mamy także relacje innych więźniów Mokotowa. Kazimierz Moczarski bardzo szczegółowo opisywał metody tortur stosowane w tym więzieniu. Ksiądz Antoni Czajkowski, który widział Pileckiego, mówił o jego połamanych

tktał później więźnia kryminalnego, który roznosił jedzenie osadzonym i również mówił, że Pilecki miał połamane obojczyki. Z kolei Maria Pilecka podczas rozprawy widziała u męża zerwane paznokcie. A sam Pilecki, kiedy konfrontowano go z rzeczami, które rzekomo powiedział w śledztwie, odpowiadał, że tego nie pamięta, bo był wówczas „bardzo zmęczony”, co było wymownym eufemizmem.

Czym był sam proces?

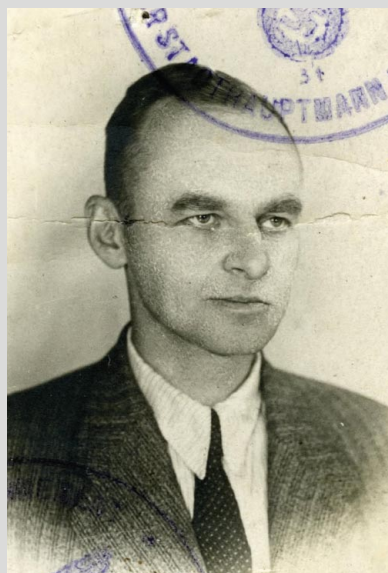
To był mord sądowy. Wyrok prawdopodobnie zapadł przed rozprawą, a sam proces miał znaczenie propagandowe. Chodziło nie tylko o potępienie Pileckiego i jego działalności. Proces miał także zostać wpisany w szerszy kontekst polityczny w kraju

PPS-WRN, który odmówił współpracy z komunistami i utrzymywał kontakty z emigracyjnymi socjalistami, m.in. z Zygmuntem Zarembą. Pilecki spotkał się z nim, wymienili informacje, a także otrzymał od niego literaturę niepożądaną w kraju komunistycznym. Szturm de Sztrem umożliwił mu również kontakt z jednym z dowódców oddziału podziemia niepodległościowego. Pilecki przekonywał go do wyjścia z lasu, co było zgodne z instrukcjami Andersa z 1946 roku: dalsza walka zbrojna nie ma sensu, pociąga za sobą zbyt wiele ofiar, a celu politycznego nie da się już w ten sposób osiągnąć.

Pileckiemu zarzucono szpiegostwo, przygotowanie zamachów, nielegalne posiadanie broni i fałszywe dokumenty. Jaką postawę przyjął przed sądem?

To była postawa głęboko osadzona w całym jego dotychczasowym życiu. Pilecki nigdy nie uciekał od odpowiedzialności i nie próbował zrzucić jej na innych. Z jednej strony brał – w cudzysłowie – winę na siebie, bo był motorem napędowym tej grupy. Z drugiej strony konsekwentnie pokazywał realny wymiar swojej działalności. Tam, gdzie władze próbowały dopisać mu szpiegostwo, tłumaczył, że było to zbieranie informacji powszechnie dostępnych. W kraju demokratycznym informacja o tym, jakie podręczniki są używane w szkole, nie jest przecież tajemnicą państwową. A takie informacje także pozyskiwał Pilecki i w oczach władzy komunistycznej miało to świadczyć o działalności szpiegowskiej.

Podobnie było z bronią. To nie była broń przygotowywana do walki zbrojnej czy do zabijania funkcjonariuszy bezpieki. Sam Pilecki powiedział w okresie śledztwa rzecz bardzo znamieną: że po Oświęcimiu nie potrafiłby już zabić człowieka. To bardzo ważny wątek, jeśli mówimy o jego osobowości i systemie wartości. Z kolei co do fałszywych dokumentów, tu też jego argumentacja była jasna. Jako Witold



i pokazać, że socjaliści niechętni współpracy z komunistami są bliscy „andersowskim szpiegom”, „reakcji” i innym tego typu propagandowym określeniom.

Ten polityczny wymiar sprawy Pileckiego często umyka, a wydaje się istotny, bo wiosną 1948 roku władze przygotowywały się już do wchłonięcia PPS przez PPR. W tym kontekście szczególnie ciekawa jest postać Tadeusza Szturm de Sztrema, działacza

Pilecki, żołnierz 2. Korpusu, nie mógłby wrócić do Polski rządzonej przez komunistów, bo natychmiast naraziłby się na represje i tak tłumaczył przybranie fałszywej tożsamości.

Po wyroku śmierci była jeszcze próba ułaskawienia. Pojawia się też wątek Józefa Cyrankiewicza, także byłego więźnia Auschwitz.

To bardzo ciekawa, ale zarazem trudna sprawa, bo nie mamy pełnej dokumentacji dotyczącej kulis śledztwa i procesu. Cyrankiewicz był więźniem KL Auschwitz i był zaangażowany w obozową konspirację, ale nie organizowaną przez Pileckiego, lecz tę o profilu lewicowym. Pilecki podkreślał, że osobiście Cyrankiewicza nie spotkał. Cyrankiewicz miał służyć o nim jako o Tomaszu Serafińskim, czyli o obozowej tożsamości Pileckiego.

Później pojawiały się relacje o liście Cyrankiewicza, który miał potępić Pileckiego. Ale takiego dokumentu nie ma w aktach procesowych, dlatego wpływ Cyrankiewicza na los Pileckiego pozostaje kwestią do zbadania i ostrożnej oceny.

Bezsporny wpływ miał natomiast Bolesław Bierut. Mógł zamienić karę śmierci na dożywotnie więzienie, ale tego nie zrobił. O ułaskawienie prosili adwokat Pileckiego, jego żona, a także sam Pilecki. Co znamienne, w projekcie wyroku znajdowały się fragmenty mówiące o „chwalebnej” działalności Pileckiego w przeszłości, ale słowo „chwalebnej” zostało odręcznie wykreślone. Chodziło o to, żeby nie wywołać w odbiorcach wrażenia, że skazywany i zabijany jest autentyczny bohater II wojny światowej.

Co wiadomo o samej egzekucji?

Pilecki został zamordowany 25 maja 1948 roku w więzieniu mokotowskim, strzałem w tył głowy. Katem był Piotr Śmietański, nazywany katem Mokotowa. Jest w tym coś bardzo symbolicznego: były działacz KPP

zabił prawdziwego bohatera. Ważne jest też to, że dla władz komunistycznych Pilecki miał umrzeć podwójnie: fizycznie i w pamięci. Rodzinie nie przekazano prawdy o wykonaniu wyroku. Maria Pilecka przez dziesięć lat żyła nadzieją, że mąż może jednak żyje, bo nigdy nie otrzymała jasnej informacji o jego śmierci. Jednocześnie komuniści próbowali wymazać go z historii. To się nie udało, choć rodzinę dotknęły bardzo realne represje: Maria Pilecka traciła pracę, pracowała poniżej kwalifikacji, stale utrudniano jej życie.

Komuniści ukryli też informacje o miejscu ukrycia ciała Pileckiego. Najbardziej oczywistym miejscem poszukiwań jego szczątków była Łączka na wojskowych Powązkach. Mimo intensywnych prac IPN nie udało się jednak ich odnaleźć.

Witold Pilecki jest najczęściej opisywany przez pryzmat heroizmu. A jaki Pilecki wyłania się z bardziej osobistej perspektywy?

Warto podkreślić, że gdy wczytujemy się w życiorys Pileckiego, widzimy postać wyjątkową: dobrowolne pójście do Auschwitz, raporty o niemieckich zbrodniach, działalność konspiracyjną, udział w Powstaniu Warszawskim, powojenną pracę wywiadowczą i śmierć z rąk komunistów. Moim zdaniem trzeba jednak widzieć w nim nie tylko żołnierza i bohatera, lecz także człowieka – głęboko empatycznego, odpornego na demoralizację wojny. W raportach z Auschwitz – obok relacji o zbrodniach – są obserwacje o kondycji człowieka, a w listach widać wrażliwość także wobec zwierząt. Kiedy syn napisał, że wytepił motyle w ogrodzie, Pilecki miał go zganić: nie ty dałeś im życie. Mimo że doświadczył horroru okupacji i wojny, nigdy nie utracił człowieczeństwa.

**Rozmawiał
Norbert Nowotnik**



Michał Wysocki FOT. PAP

Jak wyglądała pana praca w Pogotowiu Ratunkowym?

Na początku jeździłem w zespołach ogólnych do ciężko chorych z lekarzem. Później przenieśliśmy się do zespołu pediatrycznego – wyjeżdżaliśmy, najczęściej w nocy, do bardzo chorych dzieci. Byliśmy jedną karetką, która obsługiwała lewo-brzezną i prawobrzezną Warszawę. Potem przenieśliśmy się do zespołu o2, czyli tzw. zespołu szybkiego reagowania. Jeździłem z wykwalifikowanym pielęgniarzem. Najczęściej



Odebrano mi wolność, godność i dobre imię – powiedział Michał Wysocki, kierowca karetki, która wiozła z komisariatu do pogotowia ratunkowego Grzegorza Przemyska skatowanego przez milicjantów. Jedno wezwanie i przebyta w kilka minut trasa na zawsze zmieniła jego życie. Został oskarżony o śmiertelne pobicie Przemyska i skazany na 2,5 roku więzienia.

były to wezwania do spraw nagłych – wypadków, prób samobójczych, zaburzeń psychicznych, podejrzeń za wału serca czy zasłabnięć. Nasza karetka była nazywana szybką karetką.

Jak wyglądał przebieg zdarzeń 12 maja 1983 roku?

To był czwartek, około godziny 17. Pracowałem z pielęgniarzem Jackiem Szydzkiem. Dostaliśmy wezwanie – „psychiczny, komisariat milicji na Starówce”. Pojechaliśmy bardzo szybko. Od samego początku mieliśmy wraże-

dziwna. Z komisariatu wychodzili milicjanci bez dystynkcji, czyli zomowcy. Odwracali od nas głowy, tak jakby się czegoś obawiali albo wstydzili i to było nienaturalne. Pacjent siedział na krześle, miał porozrywaną koszulę i spodnie. Nie miał obuwia. Z oczu bił strach i przerażenie, źrenice wydawały się rozszerzone i ciemne. Był nieobecny duchem, bardzo spokojny, absolutnie nie wyglądał na chorego psychicznie. Nie stwierdziliśmy również śladów po wkłuciu igły, co sugerowałoby, że jest narkomanem; nie

był pod wpływem alkoholu, co sugerowali zomowcy. Nikt nam nie powiedział o pobicu.

Był z nim kolega [Cezary Filozof – red.] który podniesionym głosem awanturował się z milicjantami, padały przekleństwa. Powoli, lekko go unosząc, wyszliśmy z komisariatu. Karetka stała przed wejściem. Posadziłem go w fotelu za siedzeniem. Zdziwiło mnie, że nogi miał na zewnątrz, nie wciągnął ich, bo nie mógł tego zrobić o własnych siłach. W karetce zasugerowaliśmy, że symuluje i próbowaliśmy zagadywać. Pytałem, czy zawieźć go do domu, ale siedział nieruchomo i nie odzywał się. Potem zrozumiałem, że był tak pobity, że nie był w stanie mówić. Przed bramą pogotowia pielęgniarz powiedział „dojeżdżamy na Hożą” i wtedy Przymysk powiedział cztery wyrazy „na Hożej ja byłem”, powoli, z dużym odstępem między każdym słowem. Jacek spytał go, dlaczego nie mógł się wcześniej odezwać i wtedy zaczął się denerwować, krzyczeć i nienaturalnie pisać. Próbował złapać Jacka za włosy. Chwyciliśmy go za ręce, uspokoił się i znów stał się apatyczny. Był w bardzo złym stanie, nie mógł samodzielnie wyjść z karetki.

Co się działo w pogotowiu?

Do budynku weszliśmy niosąc go pod ramiona ułożone na naszych barkach. Skierowaliśmy się do windy. Kiedy pielęgniarz na chwilę puścił jego ramię – musiał nacisnąć przycisk w windzie, gabinet psychiatry znajdował się na pierwszym piętrze – Przymysk zaczął się osuwać, powoli upadając na betonową podłogę. Zemdlał. Przeskoczyłem przez niego i położyłem na podłodze, dzięki czemu nie uderzył w nią żadną częścią ciała. Delikatnie zahaczyłem stopą o jego lewe biodro. Wnieśliśmy go i położyliśmy na dywanie. Pielęgniarz poszedł szukać lekarza, a ja zostałem sam z pacjentem. I wtedy zauważyłem, że z kieszeni wy-

sunął się dowód osobisty. Zdziwiłem się, bo na komisariacie powiedzieli nam, że nie wiedzą jak się nazywa, w karcie wyjazdu mieliśmy wpisane NN. Dowód wsunąłem z powrotem do kieszeni. Po przyjeździe lekarza, wnieśliśmy Przemyska do gabinetu i posadziliśmy na fotelu. To był ostatni moment, kiedy go widziałem.

Kiedy dowiedział się pan o jego śmierci?

W poniedziałek wróciłem do pracy i usłyszałem, że zmarł w szpitalu na Solcu na skutek licznych wewnętrznych obrażeń. Był tak pobity, że jeden z lekarzy przyznał, że nigdy nie widział podobnej sytuacji. Powiedział, że „wyglądał tak, jakby go przejechał samochód, zatrzymał się i cofając jeszcze raz po nim przejechał”. Miał zerwane jelito, zapalenie otrzewnej, ogólne stłuczenia, krwiaki wewnątrz brzucha i potłuczoną potylicę czaszki. Gdybyśmy wiedzieli, że został pobity, pojechalibyśmy od razu na ostry dyżur. Ale zgodnie z rozkazem mieli bić tak, żeby nie było śladów. Grzegorz Przymek był pierwszym i jedynym pacjentem, któremu nie zdołaliśmy uratować życia.

Czy odbierał pan kiedykolwiek wcześniej pobite osoby z komisariatu przy Jezuckiej?

Wielokrotnie odbieraliśmy stamtąd osoby skatowane i udające np. atak cukrzycowy, napad padaczki albo załamanie psychiczne tylko po to, żeby zabrało ich stamtąd pogotowie. Odwoziliśmy ich najczęściej do domu. To było specyficzne miejsce z osobnym pokojem dla esbeków w cywilu.

Spotkał się pan z matką Przemyska, Barbarą Sadowską...

Tak, po pogrzebie Grzegorza. Poszliśmy z Jackiem Szyzdkiem do kościoła sióstr franciszkanek przy ul. Piwnej. Pani Sadowska pracowała w Prymasowskim Komitecie Pomocy Osobom

Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Bardzo nam współczuła, wtedy już trwały nasze przesłuchania. Podczas spotkania, przed kościołem, stali tajniacy w cywilu i robili zdjęcia. Widziałem się z nią również w październiku 1984 roku w kościele św. Marcina.

Sprawa nabrała błyskawicznie rozgłosu...

Władza nie mogąc sobie pozwolić na zatuszowanie morderstwa zaczęła szukać kozła ofiarnego. Wybór padł na nas. Po pogrzebie Grzegorza zaczęły za nami jeździć dwa Fiaty 125 z cywilami w środku. Kilka dni po zdarzeniu złożyliśmy zeznania w Komendzie Stołecznej MO jako świadkowie, następnie wezwano nas do Prokuratury Warszawa-Śródmieście. Musieliśmy kolejny raz tłumaczyć napisane przez Jacka na odwrocie karty wyjazdowej słowa: „Pacjent agresywny, użyto siły”. Chodziło o moment, kiedy pacjent próbował go złapać za głowę. Zawsze tak pisał, gdy musieliśmy przytrzymać na chwilę pacjenta, żeby się uspokoił.

Władza zaczęła szukać „winnych”...

Po pogrzebie zebrało się Biuro Polityczne KC, do sprawy śmierci Przemyska powołano „specjalny zespół” złożony z dziewięciu generałów, kilkudziesięciu pułkowników i około sześćdziesięciu tajnych współpracowników, ponad trzystu funkcjonariuszy SB, milicji, kontrwywiadu i wywiadu. Do tego włączono Radę Państwa i Sejm. Wszystko po to, żeby prawda nie wyszła na jaw. Do sprawy Przemyska został oddelegowany wysoki rangą oficer kontrwywiadu wojskowego płk Stanisław Ryniak. Według moich ustaleń Grzegorz Przymek był inwigilowany od listopada 1982 roku przez kontrwywiad wojskowy PRL. Próbowano go zwerbować podczas egzaminów maturalnych. Po zatrzymaniu na pl. Zamkowym przez ZOMO, miał być odpowiednio „zmiękczony”. Śle-

dzący go funkcjonariusz Wojskowej Służby Wewnętrznej miał go z tej opresji uwolnić.

Jak wyglądało zbieranie „dowodów” potwierdzających Pana winę?

Wyrok na nas zapadł szybko – śledztwo miało być zawężone tylko do sanitariuszy i lekarzy i to nas należało całkowicie obarczyć winą. Kiszczak napisał w notatce, że „ma być tylko jedna wersja śledztwa – sanitariusze”. Zaczęli nas inwigilować, śledzić, sprawdzać życiorysy nasze i naszych rodzin. Szukali tzw. haka, podstawy do aresztowania. Zabrali karty naszych wyjazdów. Przesłuchali wszystkich, którzy 12 maja mieli dyżur w pogotowiu. Ponad 60 osób. Wezwali również obecnych w pogotowiu pacjentów, którzy mieli świadczyć przeciwko nam.

7 czerwca założono mi teczkę operacyjną pod kryptonimem „Wysoki”. Próbowali zmusić mojego brata do oczerniania mnie, szantażowali go utratą pracy. Był przerażony, ale się nie zgodził. Chwilę później został zwolniony z pracy. Drugi z moich braci, kierowca taksówki, został napadnięty i dotkliwie pobity. Inwigilowana była też moja ciocia Amanda, zakonnica. Grozili też moim teściom i wujkowi, zawodowemu żołnierzowi. Przesłuchiowano moją matkę, żonę i ponad 80-letnią babcię. Prześwietlili mnie w każdy możliwy sposób. Dotarli do szkół, które ukończyłem, sprawdzili służbę wojskową w Marynarce Wojennej, dotarli do wszystkich, którzy mogli o mnie powiedzieć coś złego. Osaczyli mnie, próbowali skompromitować i wykreować na wielkiego przestępcę. Część osób zachowała się przyzwoicie, ale niestety byli tacy, którzy z różnych powodów mówili o mnie same nieprawdziwe, najgorsze rzeczy. Byłem naprawdę zdziwiony, ilu tajnych współpracowników bezpieki było w pogotowiu na Hożej.

Kogo z pogotowia i służb medycznych aresztowano? Jak wyglądała nagonka na lekarzy i pracowników?

Zaarestowali zespół R-ki [karetki reanimacyjnej – red.], lekarkę Barbarę Makowską-Witkowską, sanitariuszy i kierowcę. Obciążyli ich pijaczek, który zeznał, że go pobili podczas interwencji i ukradli 150 tys. złotych. Spędzili 13 miesięcy w areszcie na Mokotowie. Ostatecznie ich uniewinniono.

Przypadków oskarżeń medyków o napady na pacjentów było więcej. W prasie pisano o pogotowiu rabun-



Michał Wysocki, piętnaście lat później w tej samej celi, podczas kręcenia filmu „Osaczony”
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE MICHAŁA WYSOCKIEGO

kowym. Pracowników przedstawiono w najgorszy sposób. Do budynku pogotowia wpadali wysportowani mężczyźni i w holu, przed gabinetami lekarzy, wszczynali pomiędzy sobą awantury, wprowadzając zamieszanie i niepokój. Krzyczeli do pacjentów, że tutaj biją i okradają. Personel pogotowia domyślał się, że to funkcjonariusze ze służb specjalnych.

Co działo się podczas przesłuchań?

Najpierw przesłuchiwała mnie Prokuratura Śródmieście. Później śledztwo przejęła Prokuratura Wojewódz-

ka, w lipcu postawiono mi zarzut śmiertelnego pobicia Grzegorza Przemyska. Prokurator poinformował mnie, że są świadkowie, którzy 12 maja byli w pogotowiu i w swoich zeznaniach obciążają mnie i Jacka. Każda z tych osób została indywidualnie wezwana na komendę i odpowiednio zmiękczana. Wszystkich sprawdzano w Biurze „C” MSW, każdy miał tam swoją fiszkę, w której skrupulatnie zapisywano były wszystkie informacje do wykorzystania przeciwko niemu. Obecni w tym dniu pacjenci zeznali, że słyszeli krzyki i widzieli dwie osoby w białych fartuchach ciągnące po schodach, za nogi młodego mężczyznę (byłem wtedy ubrany w kolorowe rzeczy). Prokurator zażądał, żebym zeznawał jako podejrzany. Najpierw się nie zgodziłem, byłem niewinny, ale on nie chciał w inny sposób przyjmując moich wyjaśnień. W końcu mnie przekonał i to był mój błąd.

Stosowano wobec pana prowokacje

Wezwano nas kiedyś do pijanej kobiety na Powiśle. Przyjechaliśmy, pani leżała na trawniku, na palcach miała złote pierścionki, a z otwartej torebki wystawał gruby plik dolarów. Czuliśmy od niej alkohol, zabraliśmy ją do izby wytrzeźwień przy ulicy Kolskiej. Nie wiadomo skąd pojawiło się dwóch panów, pokazali legitymacje MSW i zaczęli liczyć dolary. Potem okazało się, że pani była oblana alkoholem i miała udawać pijaną. Tajniacy zabrali też naszą karetkę do Pałacu Mostowskich, gdzie przeprowadzali eksperymenty dopasowując różne warianty pobicia w niej Przemyska.

Kiedy pana zaarestowali?

Przyszli nad ranem 20 grudnia. Tej nocy obudziłem się zlany potem i przerażony. Śniło mi się, że miałem miązgę zamiast zębów. O 6 rano do drzwi zaczęła dobijać się milicja. Mieli prokuratorski nakaz, w którym było napisane, że 4 maja wiozłem do szpitala

przy ul. Grenadierów pijanego pacjenta z rozbitą głową, że dopuściliśmy się pobicia i okradliśmy go na sumę 1200 zł. Przesłuchali około 500 pacjentów i znaleźli jednego, który – szantażowany przez bezpiekę – zdecydował się nas oskarżyć. Pamiętałem tę sytuację. Pacjent nie chciał pomocy, był pijany i chciał dalej pić. Odgrażał się, że założy mi „krawat”, był zapaśnikiem. Zatrzymałem karetkę, pacjent wysiadł, nerwowo z nami dyskutował. Nie mógł utrzymać się na nogach i wsiadł z powrotem. Bez przeszkód dojechaliśmy do szpitala.

Spotkał się pan z nim później?

Rozmawiałem z nim po latach. Opowiadał jak go zastraszyli, szantażowali kolegium, więzieniem, a nawet sprawą gospodarczą za handel kwiatami bez pozwolenia na rondzie Wiatraczna.

Co się działo po przeszukaniu?

Usłyszałem, że mam z nimi pojechać i podpisać zeznanie. Zawieźli mnie do Pałacu Mostowskich, gdzie przeprowadzono konfrontację. Przychodziły różne osoby, tajni współpracownicy SB i patrząc na mnie mówiły „to ten” i wychodziły. Siedziałem w celi 23, w której wcześniej przetrzymywali księdza Jerzego Popiełuszke. Razem ze mną „siedzieli” dwaj TW. Nie przyjąłem kubka i miski, postanowiłem prowadzić głodówkę. Łącznie w areszcie nie przyjmowałem posiłków przez 57 dni. Obok celi spali funkcjonariusze z brygady specjalnej MO. W nocy budził mnie chodzący po mnie szczur. Zaczęło się pasmo psychicznych tortur i manipulacji. Esbecy pisali protokoły, według których obciążałem Jacka, podrabiali mój podpis i odwrotnie. Bezwzględnie manipulowali emocjami i skłócali nas między sobą. W pewnym momencie zaczęliśmy wzajemnie się oskarżać. Najpierw łamali mnie ogólnie, a potem już zaczęły się pytania o Przemyska.

Kiedy podjął pan decyzję o wzięciu winy na siebie? Jaką rolę odegrał por. Jacek Ziółkowski?

Rolę tzw. dobrego milicjanta, np. po zatrzymaniu pomagał mi w kontaktach z żoną. Znaliliśmy się wcześniej, mogę powiedzieć, że mu ufałem. W rzeczywistości powoli mnie urabiał do podjęcia decyzji o wzięciu winy na siebie. Miałem powiedzieć, że nadepnałem Przemkowi na brzuch. Punktem zwrotnym były groźby dotyczące morderstwa mojego syneczka Piotrusia. Usłyszałem, że będę go zeskrobywał żyłką z asfaltu. Zrozumiałem, że winę za śmierć Grzegorza Przemka muszę wziąć na siebie, wtedy milicja odczepi się od moich najbliższych. Kilkukrotnie próbowałem odebrać sobie życie. Pierwszy raz załamałem się w nocy z 31 grudnia na 1 stycznia. Tu nie chodziło o mnie, bardziej o moich bliskich. Po próbie samobójczej byłem przetrzymywany w otwartej celi, pilnowany przez milicjantów i funkcjonariuszy z brygady specjalnej. W lutym 1984 roku przenieśli mnie do specjalnie wydzielonej celi nr 1 – z innym zamkiem niż pozostałe – w pawilonie trzecim (dawnym X) więzienia przy ul. Rakowieckiej.

Siedziało ze mną dwóch tajniaków. Pod celą spali funkcjonariusze z brygady specjalnej. Postanowiłem po raz kolejny skończyć ze swoim marnym życiem, by położyć kres naciskom bezpieczeństwa na mnie i ratować mojego syneczka Piotrusia przed „nieznanymi sprawcami”. Najgorsza była nurtująca mnie obawa i podświadomość, że mogą zamordować mojego synka, tak jak to zrobili Barbarze Sadowskiej. W nocy oderwałem pas prześcieradła, zrobiłem pętlę, włożyłem w nią głowę, koniec prześcieradła przywiązałem do górnych prętów łóżka i w pozycji leżącej szarpnąłem się w dół. Straciłem przytomność. Poczuję się lekki, jakbym był w kosmosie. Widziałem z góry współwięźniów, jeden z nich, wi-

dząc co się dzieje, zerwał się z łóżka i zaczął walić w drzwi. Odratowali mnie.

Jak wyglądał proces?

To był jeden z ostatnich elementów esbeckiego planu. Odwołałem wszystkie nieprawdziwe zeznania, wbijane mi do głowy przez oficerów śledczych. Prokuratura uznała zeznania Cezarego Filozofa, który od początku konsekwentnie twierdził, że Przemka pobili milicjanci, a także innych świadków potwierdzających winę milicjantów za niewiarygodne. Nie uznała też ekspertyz biegłych, które przeczyły technicznej możliwości pobicia w karetce. Obarczyła mnie i Jacka Szyzdka pełną winą. Do jej wersji przychylił się sąd. Zostałem skazany na karę 2,5 roku pozbawienia wolności. Wyszedłem z więzienia na mocy amnestii, ale nikt nie zdjął ze mnie winy.

Jak wyglądały okoliczności wznowienia procesu?

Wyrokiem z 29 czerwca 1990 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie wznowił postępowanie sądowe i uchylił wyrok Sądu z 16 lipca 1984 roku. Postępowanie zostało wznowione na naszą korzyść. Prokurator poinformował mnie, że zeznania moje i Jacka miały być zdyskwalifikowane, ponieważ zostały uzyskane w warunkach wyłączających możliwość swobodnej wypowiedzi przesłuchiwanym. Podważył również zeznania świadków, którzy zeznawali na naszą niekorzyść. W kwietniu 1992 roku zostałem ponownie przesłuchany w prokuraturze wojewódzkiej w Warszawie. Sprawa krążyła między sądami. W lutym 2022 roku wyrokiem Sądu Apelacyjnego w Warszawie zostałem uniewinniony.

Faktyczni sprawcy nigdy nie ponieśli kary...

Mimo kolejnych postępowań po 1989 roku sprawa śmierci Grzegorza Przemka nigdy nie została skutecznie

rozliczona przed sądem. Postępowania wobec byłych funkcjonariuszy milicji Arkadiusza Denkwicza i Ireneusza Kościuka ciągnęły się latami, zapadały różne rozstrzygnięcia, część wyroków była uchylana aż ostatecznie droga do prawomocnego ukarania osób odpowiedzialnych została zamknięta z powodu przedawnienia.

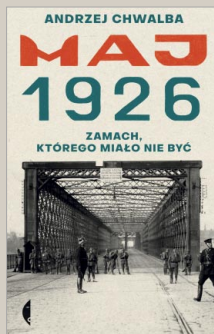
Co się stało z kolegą Przemka Cezarym Filozofem?

Konsekwentnie twierdził, że Grzegorz został pobity przez milicjantów i nigdy nie zmienił zeznań. Wyjechał do domu rodzinnego w Radomiu. W tym czasie MSW powołało Grupę Operacyjną o kryptonimie „Junior”, która szukanami, szantażem i próbą zabójstwa miała skłonić go do zmiany zeznań. Został dotkliwie pobity, odkręcano mu śruby mocujące koła w samochodzie, dziurawiono opony i przeprowadzono częste rewizje w mieszkaniu.

Jak wyglądało pana życie po odzyskaniu wolności?

Wyszedłem z więzienia znerwicowany i załęczony. Nie potrafiłem załatwić najprostszych spraw. Nikt nie chciał przyjąć mnie do pracy. W końcu udało mi się zatrudnić w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania do sprzątnięcia ulic. Pracowałem noc w noc po 12 godzin. W ciągu dnia uczęszczałem na kurs dla kierowców autobusów miejskich i dostałem pół etatu w MZK. Później pracowałem jako trener w klubach sportowych. Po latach, kiedy patrzę wstecz na swoje życie, myślę, że gdybym nie zmienił zeznań i nie obciążał siebie, to wykończyliby mi rodzinę, przede wszystkim syna Piotrusia. Biorąc winę na siebie, uratowałem też życie Cezaremu Filozofowi, którego mieli zamordować „nieznani sprawcy”.

**Rozmawiała
Katarzyna Zientara-Majewski**



Andrzej Chwalba

„Maj 1926. Zamach, którego miało nie być”

Cztery rozdziały chronologicznie przedstawiają sytuację przed przewrotem majowym, jego przebieg oraz polityczne konsekwencje. Najwięcej miejsca Andrzej Chwalba poświęca przyczynom konfliktu, co pokazuje, że bardziej interesuje go analiza źródeł wydarzeń niż ich późniejszych skutków.

Autor szczegółowo opisuje napięcia polityczne i konflikty w środowisku legionowym, zwracając uwagę zarówno na problemy systemowe, jak i relacje międzyludzkie. Jego analiza jest wieloaspektowa i wyważona – pokazuje zarówno słabości systemu II RP, jak i błędy Piłsudskiego.

To wartościowa i skłaniająca do refleksji publikacja, po którą szczególnie warto sięgnąć w setną rocznicę wydarzeń z maja 1926 roku.

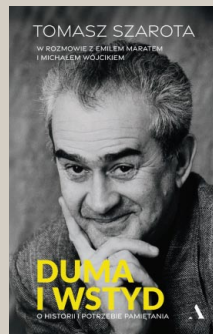
Książka ukazuje przewrót majowy nie jako nagłe i przypadkowe wydarzenie, lecz rezultat długo narastających napięć politycznych. Autor przekonująco przedstawia konflikt między Józefem Piłsudskim a rządem oraz prezydentem Stanisławem Wojciechowskim, sugerując, że konfrontacja była w istocie nieunikniona.

Dużym atutem publikacji jest połączenie historii politycznej z ukazaniem emocji, ambicji i sporów dawnych sojuszników. Autor osadza także wydarzenia w szerszym kontekście epoki – kryzysu demokracji w Europie po I wojnie światowej oraz trudnej sytuacji odrodzonego państwa polskiego.

Narrację wzbogacają liczne cytaty, fragmenty prasy oraz mapy, które ułatwiają zrozumienie przebiegu wydarzeń i pozwalają lepiej poznać realia tamtego okresu.

KZM

Wydawnictwo Czarne, Warszawa 2026



Tomasz Szarota, Emil Marat, Michał Wójcicki

„Duma i wstyd. O historii i potrzebie pamiętania”

To fascynujący wywiad rzeka z wybitnym historykiem Tomaszem Szarotą, przeprowadzony przez Emila Marata i Michała Wójcicka.

Profesor Szarota, badacz dziejów II wojny światowej, mówi o historii bez patosu i bez uproszczeń. Jego ogromna wiedza idzie w parze z uczciwością intelektualną oraz rzadką dziś umiejętnością dostrzegania złożoności ludzkich postaw. Opowieść pełna jest osobistych wątków – wspomina ojca, zamordowanego przez Niemców w listopadzie 1939 roku w jednej z pierwszych masowych egzekucji w Palmirach, a także dramatyczne doświadczenia matki więzionej na Pawiaku.

Autor nie próbuje budować ani heroicznej wizji polskiej historii, ani narracji opartej jedynie na winie i wstydzie. Przeciwnie – pokazuje, że prawda o przeszłości jest zawsze bardziej skomplikowana. Jak mówi Szarota: „nie powinniśmy milczeć o wstydzie, bo tylko wtedy duma będzie prawdziwa”.

Książkę czyta się znakomicie. Szarota jest rozmówcą błyskotliwym i erudycyjnym, a jednocześnie mówi językiem prostym i przystępnym. Dzięki temu nawet trudne tematy historyczne stają się bliskie i zrozumiałe. To nie akademicki wykład, lecz żywa i szczerza rozmowa o pamięci, odpowiedzialności i sposobach opowiadania o przeszłości.

„Duma i wstyd” to lektura obowiązkowa dla każdego, kto chce zrozumieć polską historię i współczesne spory o pamięć. Wzrusza, skłania do refleksji i pozostaje w pamięci na długo.

DG

Wydawnictwo Agora, Warszawa 2026



MONTE CASSINO 2026



82 lata temu żołnierze 2. Korpusu Polskiego zdobyli Monte Cassino – miejsce, które dla kolejnych pokoleń stało się symbolem odwagi, nadziei i ceny wolności. W dniach 16–21 maja br. polska delegacja pod przewodnictwem szefa UdSKIOR Lecha Parella upamiętniła bohaterów, którzy walczyli o zdobycie wzgórza pod dowództwem gen. Władysława Andersa, a także odwiedziła miejsca walk i pamięci Polaków na ziemi włoskiej.

Główne uroczystości, organizowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, odbyły się 18 maja br. na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino. Wydarzenie miało uroczysty charakter i zgromadziło przedstawicieli władz państwowych, kombatantów oraz rodziny żołnierzy 2. Korpusu Polskiego. Szczególną część delegacji stanowiły rodziny żołnierzy poległych w bitwie o Monte Cassino, którzy spoczęli na Polskim Cmentarzu Wojennym. Rodziny, reprezentujące żołnierzy różnych stopni i pochodzących z różnych części Polski, po raz pierwszy wzięły udział w oficjalnej delegacji. Dla wielu jej uczestników była to pierwsza wizyta w miejscu spoczynku przodków.

Podczas uroczystości szef UdSKIOR Lech Parell podkreślił, że bitwa o Monte Cassino pokazała, jak ważne jest współdziałanie całego zachodniego świata przeciwko agresji.

– Tylko wtedy możemy zachować pokój, kiedy będziemy zjednoczeni. Tak jak byliśmy zjednoczeni w maju 1944 roku. Bitwa o Monte Cassino ma szczególne miejsce w naszej historii, przede wszystkim dlatego, że była niezwykle krwawa i brały w niej udział wszystkie siły alianckie. Ale to naszym żołnierzom udało się zdobyć klasztor i zatknąć biało-czerwoną flagę na ruinach klasztoru na Monte Cassino – przypomniał Lech Parell.

Hołd żołnierzom 2. Korpusu Polskiego oddano także w Acquafondata, Piedimonte San Germano, San Vittore del Lazio, Cassamassima oraz Materze.

